Rok I. **Nr. 4.**

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Październik.

KRAKÓW.

Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy

1895.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna wynosi z przesyłką 2 fl. (4 m.)

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Sprawa beatyfikacyi Świątobliwej Ludwiki de Marillac.

Św. Kongregacya Obrzędów na zgromadzeniu z 4 czerwca zajęła się sprawą beatyfikacyi Ludwiki Marillac; uchwała pomyślna. Ojciec św. zezwolił, by Jej nadano tytuł Świątobliwej.

Uzdrowienie Siostry Miłosierdzia Decoopman, uzyskane za pośrednictwem Świątobliwej Ludwiki Marillac.

S. Dewulf, Przełożona domu SS. Miłosierdzia w Hazebrouck, nadesłała następujące szczegóły, tyczące się uzdrowienia Siostry Decoopman, jednej z swoich towarzyszek.

Hazebrouck 4 lipca 1894.

S. Decoopman bawiąc w Bois-Guillaume spostrzegła 7 grudnia 1891 r. na głowie wrzód wielkości orzecha laskowego. Początkowo lekceważyła go sobie, zwłaszcza, że nie sprawiał jej żadnej boleści. W kilka dni atoli później uczuła S. niezmierne cierpienia; każdy chociażby najmniejszy ruch je powiększał. Wtenczas zapytano lekarza o zdanie. Ten mniemając, że to wrzód, przebił ową narośl. Wypłynęła tylko krew; zrobiony otwór natychmiast się zamknął, a biedna chora doświadczała coraz większych bólów.

Kiedy po 15 dniach wrzód się odnowił, chora udała się znowu do lekarza, który sobie postąpił tak, jak za pierwszym razem. Materya się przecież nie

pokazała; rana znowu się zamknęła, a bole dokuczały chorej S. bardziej jeszcze, niż poprzednio.

Po dalszych 15 dniach zrobiono nowy otwór, który podobnie jak poprzednie boleści tylko przysporzył. W 8 dni później zrobił lekarz nowe nacięcie w kształcie krzyża szerokie i głębokie. Chora była wycieńczona, boleści coraz bardziej jej dokuczały. Było to prawdziwe męczeństwo! Lekarz oświadczył tym razem, że to jest próchnienie kości. Odesłano ją wówczas do domu centralnego; przybyła do niego 1 lutego 1892 w stanie nader opłakanym, nie mając nawet tyle siły, by stać prosto. Lekarz domowy uważał operacyą za niezbędną, lecz sam podjąć się jej nie chciał.

Postanowiono wysłać chorą siostrę do Hazebrouck, do rodzinnego miasta, do którego przybyła 6 lutego 1892 w takim stanie, którego niepodobna sobie wyobrazić. Umieszczono ją w infirmaryi. Chora nie mogła ni spać, ni leżeć, nie wiedziała, gdzieby skłonić swoją zbolałą głowę. Miejscowy lekarz zadowolnił się tem, że zrobił nowe nacięcia w prawą i w lewą stronę, wyżej i niżej, nie mogąc zrozumieć przyczyny wielkości bólu. W ranie pozostawił nieco gazy, ażeby się znowu nie zamknęła.

Dzięki świeżemu powietrzu rodzinnych stron i czułej troskliwości chora odzyskała nieco sił. Zawieziono ją do Lille, ażeby tam o radę zapytać specyalistę p. Duret. Ten oświadczył, że to jest narośl i to nader wielka dlatego, że się na niej nie poznano, a ztąd też nie przeszkodzono jej wzrostowi. Operacyę uznał za konieczną i natychmiast zabrał się do niej. Niestety! przyniosła chorej tyle ulgi, co poprzednie nacięcia! Boleści były niewymowne; rana bardzo głęboka nie zamknęła się tym razem.

Światły lekarz mniemając, że prawdopodobnie wszystkiej materyi nie wydobył, przedsięwziął nową operacyę, a jej rezultatem było nowe przymnożenie bólów. Chora powróciła do Hazebrouck. Lekarz z Rumbèke p. Mahieu, bawiący przez krótki czas w tem mieście, zapytany w tej sprawie, zapewniał, że te okropne boleści do śmierci nie ustaną, bo przerwano nerw przy wiązaniu. Zawsze odważna Siostra powróciła do Lille, gdzie 19 grudnia poddała się trzeciej operacyi, boleśniejszej naturalnie od poprzednich. Boleść się zawsze zwiększała, a tym razem tak bardzo, że chora już do siebie przyjść nie mogła.

Lekarz już teraz nie wątpił, że to są bóle nerwowe; nakazał na szyję przyłożyć wielki plaster ciągnący i dodał: „Gdyby jeden nie wystarczył, proszę przyłożyć dwa — a mówiąc to, zrobił taki gest, jak gdyby chciał powiedzieć: jeżeli dwa nie wystarczą, już nie znam innych środków".

Działo się to z początkiem stycznia 1893 roku. Przyłożono stosownie do polecenia lekarza wizykatorye, które tylko cierpień przymnożyły. 19 stycznia powróciła zrozpaczona Siostra do Hazebrouck. Cierpiała nadzwyczajnie; położenie było okropne. Stosując się skrupulatnie do poleceń lekarza, kazała sobie przyłożyć drugi plaster ciągnący, który wywołał te same opłakane skutki. Wiele już nowen odprawiła, innych środków więcej nie było.

Często — tak bardzo często, kiedy podczas modlitwy błagałam P. Boga o pomoc, nie odstępowała mnie ta myśl: Nasza świątobliwa Matka bardziej niż ktokolwiek inny wiedzieć powinna, czy ta siostra ma powołanie; jeżeli w niej widzi odpowiednie usposobienie do tego stanu, przywróci jej zdrowie i pomnoży przez to naszą ufność ku niej. Mówiłam wów-

czas: Tak jest — do niej od tego czasu uciekać się powinniśmy, a pełna ufności i zapału nie taiłam tego przed mojemi towarzyszkami. Nowennę rozpoczęto 6 marca; wszystkie siostry, jakkolwiek były gotowe ponawiać ją aż do wyzdrowienia towarzyszki, tę atoli żywiły nadzieję, że będą potrzebowały ją tylko odprawiać do 15 marca t. j. rocznicy Jej błogosławionej śmierci. Ze łzami w oczach błagałyśmy Boga, bo boleści S. Decoopman były straszne, położenie krytyczne.

12 marca w niedzielę S. Decoopman osłupiała przy przebudzeniu się, bo żadne boleści jej nie dokuczały. Bezsenność dręczyła ją ustawicznie, sen był jej od roku prawie nieznany; tej nocy jednak bez przerwy była pogrążona w głębokim śnie aż do samego rana, a po otworzeniu ócz spostrzegła, że jest zupełnie zdrowa. Nie chciała sobie wierzyć, że już nie jest chora i dlatego też ciągle pozostawała w obawie, by choroba nie wróciła.

Choroba atoli już nie wróciła. Odtąd wstawała Siostra Decoopman regularnie o godz. 4 i wypełniała swoje obowiązki. 15 miesięcy minęło, jak S. Decoopman nie czuje żadnego bolu, a lekarz Mahieu, któremu ją wczoraj przedstawiłam, łaskawie poświadczył, że rana zagojona, i że to stać się nie mogło za pomocą środków ludzkich!

Spraw o Matko Niepokalana, Matko Świątobliwej Ludwiki Marillac i Matko nasza, ażeby ten cud przyczynił się do większej chwały Tej, która była wiernem odbiciem Twojej miłości.

S. Decoopman potwierdziła opisanie tego faktu w tych słowach:

„Potwierdzam, że fakt mojego uzdrowienia zupełnie się zgadza z opisem Przełożonej S. Dewulf.

Oby Bóg, Jego Najśw. Matka i nasza Świątobliwa Założycielka była błogosławiona".

S. Decoopman
N. S. Zg. M.

Świadectwo lekarza.

Ja niżej podpisany doktor z Rumbèke poświadczam, że S. Decoopman była dotknięta próchnieniem kości z zewnętrznej strony czaszki i że tego rodzaju choroba w wyjątkowy sposób wyleczona została bez przyrośnięcia skóry do kości. Choroby zapomocą znanych dotąd metod nie można było wyleczyć.

W tym przekonaniu wydaję to świadectwo.

Rumbèke 3 lipca 1894.

Dr. Mahieu.

Uzdrowienie uzyskane za przyczyną Ludwiki de Marillac (p. Le Gras).

List pewnej Siostry Miłosierdzia do X. Fiat, Przełożonego generalnego [1]).

Szpital d'A., 5 lipca 1893.

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Dobroć Najprzewielebniejszego Ojca ośmiela mię do spełnienia, o ile zdaje mi się, mego obowiązku, celem powiększenia chwały pokornej służebnicy Boga, Ludwiki de Marillac. A najprzód wspomnę, Najprzewielebniejszy Ojcze, że u nas w szpitalu siostry odmawiają codziennie wspólnie w sali zgromadzenia modlitwę do św. Wincentego, aby za jego wstawiennictwem uzyskać łaskę Beatyfikacyi służebnicy Bożej

---

[1]) Tłómaczenie z Annales str. 532. 1893 r.

Ludwiki de Marillac; każda też wtedy prosi o jaką dowolną dla siebie łaskę.

Siostra C... prosiła gorąco Boga o łaskę nawrócenia swego ojca, ażeby pojednawszy się z Bogiem, przyjął św. Sakramenta. Widząc jednak, że przez tyle lat modlitwy jej nie były wysłuchane, umyśliła prosić o tę łaskę za przyczyną pobożnej Matki Ludwiki de Marillac. W końcu po trzech miesiącach ciągłej modlitwy — widziała się wysłuchaną. Ojciec jej wyspowiadał się, przystąpił do stołu Pańskiego, słowem uspokoił swe sumienie, bez oglądania się na względy ludzkie, córka zaś jego nie przestaje dziękować za to swej Dobrodziejce.

W miesiącu marcu tego roku służąca zajęta pracą w kuchni w naszym szpitalu (nazywa się C... N...) zachorowała na różę, którą zaniedbała i nim była zupełnie uleczoną, wróciła do swych mozolnych obowiązków. Szła za popędem swej gorliwości, nie słuchając przedstawień naszych sióstr, które przewidywały, że ta jej nieroztropność może pociągnąć za sobą smutne następstwa. I rzeczywiście, po kilku dniach musiała się położyć powtórnie. Lekarz szpitala skonstatował niebezpieczeństwo: zapalenie nerek ze wszystkimi symptomatami, na co sztuka lekarska środka niema. Co gorsza, cierpienia wątroby skomplikowały chorobę tak, że lekarze wezwani na konsilium, używając wszystkich możliwych środków, polecili dać jej ostatnie św. Sakramenta; uczyniono to zaraz, a śmierć zdawała się szybko przybliżać. Wieczorem tego dnia, w którym chorej tak się pogorszyło, straciła zupełnie przytomność. Lekarz oddalając się oświadczył, że nie przeżyje nocy. Około wpół do dziewiątej wieczorem, kapelan, siostry szpitala, jak i inne siostry z drugiego domu i kilka jeszcze osób

otaczało łóżko, czekając jej zgonu. Płakałyśmy, bo chora była i dzieckiem Maryi, była przywiązana do domu, od 30 lat już tu pracowała; wtem jedna z sióstr kładzie z pobożnością medalik przedstawiający pobożną Matkę Ludwikę de Marillac, na dosyć już zimne czoło umierającej, a chora zaraz otwiera oczy, patrzy, rozpoznaje obecnych i mimo, że już od rana nie miała przytomności, przemawia kilka słów do otaczających.

Przejęte wdzięcznością upadamy na kolana i rozpoczynamy nowennę, składającą się z 3 Chwała Ojcu, 3 Ojcze nasz i 3 Zdrowaś Marya, z wezwaniem: „Św. Wincenty a Paulo, w imię naszej pobożnej Matki, która tak była do Ciebie przywiązaną, módl się za nami“, i obiecujemy głośno, jeżeli uzyskamy zupełne uzdrowienie dla chorej, ogłosić o niem na większą chwałą Boga i tej, która mu tak pokornie służyła na ziemi.

W nocy piła chora nieco mleka i bulionu, choć od kilku dni nic do ust wziąć nie mogła, gdyż zaraz zwracała; od tego czasu puchlina sklęsła widocznie, chora ma się dobrze tak, że bez rekonwalescencyi po dziesięciu dniach nabrała sił i powróciła do swych dawnych obowiązków — ku zdziwieniu lekarzy i wszystkich osób, które były świadkami jej choroby i konania.

Oto Najprzewielebniejszy Ojcze zdarzenie, jakiego byłyśmy świadkami, lecz to nie wszystko jeszcze. Dobry Bóg doświadczył nas znowu i pocieszył. Uzyskałyśmy jeszcze jednę łaskę nadzwyczajną i to znów za przyczyną naszej pobożnej Matki.

Trzydziestego marca przeszłego roku przyszedł do naszego szpitala żołnierz 48-go pułku nazwiskiem E... C..., pochodzący z Toskanii, który niedawno opuścił swą drogą rodzinę. Z początku sądzono, że

to cierpienia nerwowe, lecz wkrótce spostrzeżono, że był dotknięty epidemiczną chorobą, która srożyła się w okolicy i mieście. Lekarze orzekli, że to: zapalenie błony mózgowej.

Siostra oddziałowa widząc taki stan choroby, zawezwała drugiego lekarza, który razem ze swym kolegą zarządził skuteczne na tę słabość środki i dzięki Bogu po 15 dniach choroba ustąpiła. Lecz niedługo cieszyliśmy się tem polepszeniem. Oto nasz chory z febrą popadł w recydywę. Od tej recydywy bezprzytomność przy gorączce 41^0 nie opuszczała go i doprowadziła do ostateczności, nie dając najmniejszej nadziei polepszenia. Po udzieleniu mu ostatnich św. Sakramentów siostra sądziła, że trzeba będzie ostatecznie już powiadomić rodzinę strapioną, do której telegrafowałyśmy kilka razy na dzień, o groźnym stanie choroby, lecz nim zdecydowała się wysłać tę ostatnią bolesną wiadomość, zapytała raz jeszcze lekarzy o prawdziwy stan chorego. Odpowiedź zupełnie pewna była: może w każdej chwili skończyć. — Siostra strapiona do reszty, dodając jednak sobie otuchy, obraca się do innych chorych i rzecze: Kiedy więc nie można więcej ufać środkom ludzkim, bo te wszystkie już były wyczerpane, trzeba się modlić i prosić o pomoc z nieba; pada na kolana przy łożu umierającego, i z całą gorącością serca i ufnością zaczyna nowennę do naszej pobożnej Matki Ludwiki de Marillac; zawiesza na szyi chorego medalik jej, który miał właśnie pokazać nam znaczenie naszej czcigodnej Matki w niebie przed Tym, któremu tak gorliwie służyła za życia, w osobie cierpiących.

Tymczasem wyprawiono depeszę i w dwa dni ojciec chorego przybył; uściskał syna rzewne wylewając łzy. Mój Boże! jakiż to rozdzierający widok!

syn nie poznaje ojca. Całe dwa dni nie mógł biedny ojciec otrzymać od niego ani jednej oznaki, którąby mu przyniosła jaką pociechę i pozwoliła domyślić się, że poznaje jego głos. W dniu tym wciąż byliśmy w obawie i nadziei, lecz pięciu lekarzy wezwanych na konsilium, już zupełnie nam ją odjęło.

Ale nasza pobożna Matka, która tak dobrze chorym służyła, błagała Boga za biednym cierpiącym! I oto z dnia na dzień coraz mu się polepszało tak, że w siódmym dniu nowenny mógł już chory jeść trochę mięsa i pić wino. Odzyskał siły zwolna ku wielkiemu zdziwieniu tych, którzy go widzieli nad grobem.

Odjechał ucieszony 24 czerwca do swej ukochanej rodziny, uwolniony od służby, dzięki czyniąc tej, która mu wyjednała tę nadzwyczajną łaskę. Mam jeszcze list, który mi napisał w kilka dni po swym odjeździe; pisze, że wszyscy mieszkańcy jego miejscowości zebrali się w kościele, gdzie uroczyście odśpiewano Te Deum dziękczynne za jego wyzdrowienie.

Podobnej łaski na sobie doświadczył niejaki B... C... pochodzący z A..., ojciec pewnego deputowanego z prowincyi. Dotknięty tą samą chorobą, która wiele już zabrała ofiar, po kilku dniach był już konający i porzucony przez sześciu najsławniejszych lekarzy. Odprawiając jednak nowennę i nosząc na sobie medalik pobożnej Matki Ludwiki de Marillac, mimo zwątpienia wszystkich, został zupełnie uleczony. — Nadto muszę jeszcze napisać, Najprzewielebniejszy Ojcze, że nietylko nadzwyczajne uleczenia, lecz i nadspodziewane nawrócenia zostały tu w naszym szpitalu uproszone, gdyśmy wzywały przy-

czyny Błog. Jana Gabryela Perboyre'a, wystawiając obraz jego ku czci i paląc przed nim światło.

Niech Najprzewielebniejszy Ojciec raczy przyjąć zapewnienie mego przywiązania, Najprzewielebniejszego Ojca

pokorna i posłuszna córka
Siostra N.

Syrya.

Sprawozdanie z pracy Zgromadzenia w Syryi.

Bejrut. Jest tu 5 księży i 4 braci.

Znajduje się tu dom wizytatora i centralna administracya dla wszystkich dzieł już-to Zgromadzenia Misyonarzy, już-to Sióstr Miłosierdzia w Syryi, Palestynie i Egipcie. Ażeby sobie zdać sprawę z pracy Misyonarzy tego domu, wypisuję po prostu sprawozdanie tamtejszego Przełożonego.

„Dom Misyi w Bejrucie zajmuje się przedewszystkiem dziełami Sióstr Miłosierdzia. Oni-to katechizują i spowiadają wszystkie dzieci, uczęszczające do ich szkół, mają nadzór nad licznemi stowarzyszeniami dziewcząt, które Siostry Miłosierdzia ustanowiły. Szpital natomiast wymaga troskliwości jednego tylko misyonarza. Czasem się zdarza, iż się praca podwaja. Nasz kościół bardzo wielki i nader wygodny zwabia mnóstwo ludzi i w wszystkie niedziele i święta jest przepełniony. W każdą niedzielę głosi się słowo Boże, a przez cały miesiąc maj mają misyonarze dwie nauki na tydzień. Wieśniacy oblegają konfesyonały; wielu także górali z Libanu zbiega się do nas, by zaspokoić swoje sumienie. Przyjmujemy ich z otwartemi rękoma, — lecz ileż-to trudu, czasu, pracy i poświęcenia wymaga.

„W ogólności dom Misyi czyni wiele dobrego, — ludzie zaś dziwią się, że się odważamy na tak ważne sprawy, chociaż niewielu jest pracowników. Wołają nas na misye do wiosek, lecz niepodobna będzie nam się tam udać, jeżeli P. Bóg nie powiększy grona pracowników.

„Nasze wydatki są stosunkowo bardzo wielkie, a to nasamprzód z powodu wygórowanej ceny za wiktuały, następnie z przyczyny położenia domu, a wreszcie przyczynia się do tego i ta okoliczność, że w naszym domu zatrzymują się wszyscy misyonarze. Nie mija też ani jeden rok, ażebyśmy nie przyszli w pomoc któremu z naszych domów lub biednym naszego kraju, którzy są naszymi braćmi. Trzebaby chyba serca nie mieć, ażeby ich odepchnąć od siebie. Nasz kościół należący do najgłówniejszych w mieście, nie ma żadnego dochodu; w r. 1893 wydano 2000 franków na jego odnowienie. Mały dom sierot Moer-Mitri, w którym się znajduje dwóch z naszych braci koadjutorów ma także swoje wydatki. W przeciągu wcale niedługiego czasu wyświadczono dobrodziejstwa, które oceniam na 800 franków.

„Misyonarze z tego domu zwiedzają także bardzo wielką część wiosek, gdzie założono 112 szkół. Mimo woli przychodzi mi na myśl założenie tego dzieła, któremu Bóg pobłogosławił w szczególniejszy sposób i które świadczy tyle dobrego tak nauczycielom, jakoteż uczniom. Nauczycielami w tych szkołach są proboszczowie wiosek; niegdyś uprawiali własnoręcznie rolę, odprawiali mszą św. tylko w niedzielę, gdyż nie otrzymywali żadnego honoraryum. Obecnie zawarliśmy stosunki z proboszczami tych 112 wiosek, najmujemy lub też kupujemy, stosownie do okoliczności — dom, gdzieby zgromadzali dzieci. Tą pracą zajmuje się

szczególniej jeden misyonarz; przebiega ustawicznie, by zachęcać do pracy i przekonać się, czy wszyscy wypełniają sumiennie swoje obowiązki.“

Antura. W tutejszem kolegium jest 10 księży, 9 braci; uczniów jest 300.

Zakład się podnosi; takie ma wzięcie, że w kilka dni przed jego otworzeniem trzeba było uwiadomić rodziców zgłaszających się, że wszystkie miejsca są zajęte. Proszono rodziców, żeby się nie fatygowali do kolegium, bo odbiorą napewno odmowną odpowiedź. Mimo tej przestrogi bardzo wielu się stawiło i trzeba było wynająć kilka domów w pobliskiej wsi, ażeby jako tako umieścić pewną liczbę uczniów.

Tripolis. 4 księży wspieranych przez 3 braci koadjutorów, zajmuje się tu misyami.

Dom ten zawdzięcza wiele jałmużnom Sióstr Miłosierdzia, których jest 600. Głównem zajęciem tutejszych misyonarzy są misye pomiędzy Maronitami Libanu. Nasi konfratrzy nie mogą nigdy zadosyćuczynić licznym prośbom o misye. Przez ośm miesięcy, przez które odprawiano misye, musiano sobie dobrać gorliwych kapłanów tego kraju do pomocy. „Pomyśne są owoce takiej pracy apostolskiej“ — pisze Przełożony — „chwała Boża i zbawienie dusz postępuje.“

Akbes. W tutejszym domu zamieszkuje 2 księży i 2 braci koadjutorów.

Misyonarze czynią tu wiele dobrego. Przed 12 laty liczono w Akbes i jego okolicach tylko 500 katolików; obecnie jest ich 2000. Piękny-to zaiste owoc naszej pracy! Często atoli pomimo tak świetnych rezultatów udawać się musimy o pomoc do biskupa, jeżeli nie chcemy, by konieczność nas zmusiła porzucić misyę. Niedostatek tak wielki, dochody tak szczupłe, że inaczej trudno sobie postąpić, jeżeli nam P.

Bóg nie przybędzie z pomocą, zwłaszcza, że Trapiści, którzy się osiedlili byli w pobliżu nas, ustąpili z tego samego powodu.

Damaszek. W tutejszym domu liczymy 6 ks. i 4 braci koad., szkoła liczy 200 uczniów.

Oto sprawozdanie z roku szkolnego 1892—1893, które nadesłał Przełożony tego domu i które zdaniem mojem każdego przekonać potrafi o naszych wielkich potrzebach przyszłości.

„W Damaszku wiele spraw wymaga po nas nie tylko wielkiej troskliwości, ale także znacznych sum pieniężnych. I tak n. p. do naszego kolegium, w którem jest pięciu księży, zapraszać musimy licznych nauczycieli, co naturalnie powiększa znacznie nasze wydatki. Wzywamy najlepszych profesorów a mianowicie takich, którzy mają wzięcie dla znajomości języka arabskiego, ażeby i nadal utrzymać to dobre wyobrażenie o naszym zakładzie, którem się cieszył dotychczas. Do zakładu przyjmujemy zazwyczaj takich uczniów, którzy płacą za stół i mieszkanie lub cośkolwiek za naukę, — a to jest jedyny nasz dochód.

„Mamy także szkołę dla externistów, do której bardzo licznie uczęszczają biedni chłopcy (115—120), a byłoby ich zaiste jeszcze więcej, gdybyśmy im mogli dostarczyć tych nagród, o które tak łatwo w innych zakładach a zwłaszcza w szkołach protestanckich. Kupić n. p. kilka książek i trochę papieru, jest na pozór rzecz drobna, a tymczasem jestto nader wielka suma dla biednego wyrobnika, który na zakupienie jednej książki obrócić musi cały swój dzienny zarobek. Wzmiankowałem o tem, by Ci dać poznać Mości księżę w jak wielkiej potrzebie się znajdujemy, a zarazem prosić Cię, byś nam nie odmówił Swojej pomocy. O tak! przybądź nam z po-

mocą w nauczaniu tutejszej młodzieży, w tej pracy, która przynosi już teraz tyle obfitych owoców. Wiedzieć trzeba, że koło nas są chłopcy wszystkich wschodnich obrządków; katolicy są górą, a dysydenci czerpią u nas z prawdziwego źródła zasady katolickiej wiary, które oświecają ich umysł i widocznie zbliżają ich do Rzymu. Jakaż-to była pociecha dla nas, gdy jeden z naszych profesorów, dawniejszy uczeń nasz, powrócił na łono kościoła katolickiego, co za pociecha — powiadam — gdy za przykładem syna poszła także matka!

„Co się tyczy Muzułmanów bez względu na tych, którzy od nas odstąpili, dowiesz się, że znowu do nas przychodzą, a ta wiadomość zaiste wielką Ci sprawi pociechę. Pomiędzy uczniami było 25 Muzułmanów w tym roku, a wśród nich 5 synów konsula perskiego i kilku synów urzędników w seraju; na lekcye języka francuskiego przychodzą codziennie przed udaniem się do biura. Takiej sprawy w żaden sposób porzucać nie można. Ci synowie znają chrześcian nie tylko z opowiadania ich szeików, lecz także przypatrują nam się przy naszych zajęciach, a kiedy się przejmą duchem chrześcijańskim, żadnego znaczenia nie mają już nich przesądy i uprzedzenia do chrześcian, a tem samem przejmują się także ich rodzice. Zresztą nasze położenie zmusza nas do znoszenia się z ich rodzicami. Dziwny urok wywiera na nas serdeczność, którą nam okazują, kiedy się pośród nich znajdujemy. Kilku baszów mających synów u nas otacza nas miłością i żywi szczere przywiązanie ku nam. To dostateczne, by Cię zapewnić, że z pomocą tych osób potrafię załatwić nader zawikłane sprawy mające wielkie znaczenie dla naszej misyi.

„Cóż jeszcze mam nadto powiedzieć? Chyba to

tylko jeszcze, że mamy kościół, do którego jakkolwiek nie jest parafialnym, uczęszcza bardzo wielu wiernych. Mamy nadzór i uczymy zasad wiary 450—500 dzieci w zakładzie Sióstr.

„Sądzę, że doniesione szczegóły najlepsze Ci dadzą wyobrażenie o naszej pracy w Damaszku.“

Sprawozdanie z pracy Sióstr Miłosierdzia w Syryi.

Bejrut. Dzieła miłosierdzia; 37 sióstr, 924 dzieci w ich szkole; szkoła normalna dla wiosek górskich; liczne zakłady dla ubogich, dom dla podrzutków; 115000 ubogich znalazło wspomożenie.

Dom ten został założony w r. 1846, a od tego czasu stała na jego czele powszechnie szanowana S. Gélas. Ta dobra Siostra w dziwny sposób ustanowiła rozmaite dziś kwitnące dzieła w Syryi. Dom Sióstr Miłosierdzia był jakby źródłem, z którego wypływało nieustannie miłosierdzie. Przy dokładnem rozpatrzeniu się spostrzedz można wiele dzieł wyrosłych jakby na fundamentach domu Sióstr Miłosierdzia. Jakkolwiek niedawno, jak założono ten dom, wszystko w jak najlepszym stanie się znajduje, chcę na razie zaprzestać na sprawozdaniu z szkół dla górali. Wiadomo, że ich założycielką była S. Gélas. W jednym z listów pisała ona: „Duchowieństwo i wieśniacy proszą o pomnożenie liczby szkół, a na nieszczęście szczupłe dochody starczą zaledwie na utrzymanie już zaprowadzonych. Anglia i Ameryka rozpraszają pieniądze na zepsucie ludu, a mimo tak zadziwiającej hojności mały jest skutek ich usiłowań. W Oidi-Chare pewna nauczycielka przejęta duchem św. Wincentego zniweczyła ich zgubne zamiary. Z sercem apostoła zwróciła się do ludu wieśniaczego, wykazała im zgubne skutki z uczęszczania do protestanów. Wskutek tego posta-

nowili rodzice już więcej nie posyłać swoich dzieci do ich szkół. Trzy razy usiłowali protestanci osiedlić się w Oidi-Chare i trzy razy musieli ustąpić przed gorliwością tej młodej apostołki.

„Kiedy w wioskach nie było naszych szkół dla młodych dziewcząt — pisała jeszcze Siostra, zdarzało się, iż wszystkie dzieci były wychowane w zupełnej nieświadomości religii. Maronici, których przywiązanie do religii tak często się wysławia, umieją się zaledwie przeżegnać. Rok rocznie opuszcza wielka liczba dziewcząt stoki Libanu, by w okolicach Bejrutu pracować po fabrykach tkackich. Założyłyśmy stowarzyszenie wyłącznie dla nich i do niego staramy się je pociągnąć, ażeby je w ten sposób zabezpieczyć przed zarazą otaczającą je zewsząd. Dyrektorowie tych tych fabryk, katolicy chętnie przytakują gorliwości naszych sióstr. Czasem zaś kiedy odmówią siostrze przystępu, posyłamy w nasze miejsce kilka dzieci Maryi albo córki naszych Pań-Miłosierdzia. Każda z nich jest dumna, kiedy się jej powierza takie dzieło apostolskie i gdy nam może opowiedzieć swoje powodzenie. Taka osoba zgromadza kilka robotnic, opowiada im o ich rodzicach, uczy pacierza, katechizuje i t. p. i t. p. Wyniki są nadspodziewane. Całem sercem oddajemy się temu dziełu, gdyż większa część dziewcząt stałaby się pastwą protestantów i rozszerzałaby po powrocie do gór zgubne zasady herezyi.“

Wspomniawszy o tem dziele, opowiedziałam tylko bardzo małą cząstkę tego dobrego, które świadczy dom Miłosierdzia. Mogłabym tu jeszcze dodać o ubogich, którzy przychodzą w niedzielę wysłuchać mszy św. i nauki, a następnie otrzymują skromne śniadanie. Zdaje się, iż nie mam potrzeby mówić, że te dzieła

jakoteż i inne, o których w tegorocznem sprawozdaniu przemilczałam, czyni się bezinteresownie.

Rozważywszy wydatki, sądzić można, że otrzymany rezultat jest cudem. Czcigodna S. Gélas posiadała widocznie jakiś sekret, z pomocą którego ze szczupłych dochodów tak świetne osięgać umiała rezultaty.

Bejrut. Dom sierot pod wezwaniem św. Karola utrzymuje 14 sióstr; w zakładzie jest 300 sierot.

Bezpłatnie przyjmuje się dzieci od trzeciego roku. Tutaj od wczesnej młodości uczą się szycia, haftowania i t. d. Przełożona tego domu pisała, że przyjęłaby 500—600 sierot, gdyby na to miejsce i dochody pozwalały. Dom nasz budowany był pośpiesznie w czasie po rzezi w Damaszku, a więc wymagał już obecnie restauracyi, której niechętnie podjęłyśmy się dla braku osobnego funduszu. Trzeba było pożyczyć pieniędzy, co naturalnie niemało się przyczynia do tego, że nasza misya nie może być w stanie rozkwitu, i że się tego nie tak rychło doczeka, chyba, żeby Bóg natchnął jakąś pobożną osobę litością nad nami. Od czasu, kiedy moja poprzedniczka ustanowiła osobną ochronkę dla chłopców, otrzymujemy tylko 6000 franków, 4000 zaś przeszły na ochronkę, która już dziś nie istnieje. Łatwo można sobie wystawić, jak trudne jest nasze położenie.

Ażeby pokazać, jak ważną sprawą jest ochronka św. Karola, dodać muszę, że większa część dziewcząt po powrocie na świat pozostaje dobremi chrześciankami. Bardzo rzadko się zdarza, ażeby się która z dawniejszych dzieci ochronki dopuściła jakiego haniebnego czynu.

Bejrut. W domu sierót św. Józefa mieszka 10 sióstr i 130 sierót (chłopców).

Ten dom został założony dopiero w r. 1881.

Rzecz doprawdy bardzo dziwna, że Syrya, która ma tyle pobożnych zakładów, pozbawioną była domu sierót dla chłopców. Wyznać trzeba, że lepiej sobie postąpili protestanci, gdyż mają liczne ochronki dla chłopców. Kiedy po rzezi w Damaszku budowano powyżej wspomniany zakład św. Karola, do czego przyczynił się niemało rząd francuski, postanowiono wybudować także ochronkę dla chłopców i zakład ten powierzyć opiece OO. Jezuitów. Niewiadomo mi, dla czego tak chwalebny zamiar nie przyszedł do skutku.

Tymczasem została S. Meyniel zamianowana przełożoną ochronki św. Karola. Wielce ubolewała widząc, że bracia biednych sierót uczęszczają do zakładów protestanckich. W całej Syryi przecież inaczej być nie mogło, jeżeli tak było w Bejrucie. Nie wiem, czy sobie każdy zdaje dokładnie sprawę z usiłowań protestantów i z owoców ich pracy. Przed niedawnym czasem wykazała statystyka ich znaczenie na Wschodzie; wynik ich pracy jest nader pocieszający dla katolików. Pewien katolik z Bejrutu zadał sobie pracę, by policzyć wszystkie dzieci katolickie uczęszczające do szkół protestanckich; przekonał się, że ich było 1400. Ta liczba mnie przeraża.

Pewien z czcigodnych naszych misyonarzy z Syryi pisał do mnie pod datą 18go grudnia: „Budowa portu i kolei żelaznej z Bejrutu do Damaszku przywabiła wielu europejczyków a szczególniej Francuzów. Otóż katolickie dzieła powinne zaopatrywać potrzeby rodzin europejskich. W obcej ziemi wszyscy nasi rodacy są katolikami, chociażby tylko z powodu dumy narodowej! Lecz cóż się stanie, jeżeli gorliwie nie zabierzemy się do dzieła? Nic zaiste innego nad to, co widziałem przed kilku dniami: trzy dziewczęta, córki rodziców francuskich, które wyuczyłem kate-

chizmu i które u nas po raz pierwszy przystąpiły do komunii św., uczęszczają do szkół, gdzie uczą nauczycielki protestanckie i niemieckie. Nie trudno odgadnąć dla czego!

Spodziewam się, iż mi każdy wybaczy zboczenie od przedmiotu, bo sprawa protestantów na Wschodzie a zwłaszcza w Syryi tak ważną mi się wydaje, iż się często zapytuję, czy się nią dostatecznie zajmujemy i czy usiłowania i środki, któremi się posługujemy w tym celu, są dość energiczne.

Powracam więc już do ochronki św. Józefa. Naturalnie S. Meyniel nie mogła być bezczynną, widząc, że bracia młodych dziewcząt z zakładu uczęszczają do szkół protestanckich i że w ich zakładach się wychowują. Założenie ochronki dla chłopców uważała za rzecz niezbędną a w przekonaniu, że się Bóg od niej tego domaga, postanowiła przystąpić do dzieła. Niektóre okoliczności tak szczęśliwe jakoteż i niespodziewane utwierdziły ją w tej myśli, że niebo błogosławi jej zamiarom. W części szlachetne serca, w części rząd francuski nie szczędził ni zachęty, ni pieniędzy — a dzieło Propagandy wiary najhojniejszem się tym razem okazało.

„Chłopcy pracują i różnego rzemiosła się uczą w licznych warsztatach, które zaprowadzono w zakładzie. Krawcy szyją ubrania dla kolegium w Antara i dla innych zakładów, szewcy mają robotę z wszystkich zakładów miasta, tosamo dostało się w udziale stolarzom; ogrodnicy dostarczają dla domu warzywa — resztę sprzedawają na targu. Znaczna część chłopców zajmuje się wyrabianiem tkanin wełnianych, jedwabnych i bawełnianych. Krótko mówiąc, cały zakład jest dobrze urządzony i w błogie obfituje skutki. — Inaczej jednak przedstawiają się wyniki

materyalne. „Zapłata dla majstrów“ — pisze p. S. Meyniel — „pochłania nasze szczupłe dochody i więcej jeszcze. Od trzech lat, kiedy ukończono nasze budynki, nie można było w żaden sposób spłacić zaciągniętych długów. Szczególniejsza i jakaś wyjątkowa tylko pomoc mogłaby nas wyprowadzić z tak przykrego położenia.“

Bejrut. Szpital, do którego przyjęto w tym roku 800 chorych, obsługuje 10 sióstr.

Wiadomo, że ten zakład służy zarazem za klinikę. Niepodobna więc siostrom zaoszczędzać lekarstw, jak się to czyni gdzieindziej przy zupełnej niezależności od drugich, ażeby o ile możności rozszerzyć opiekę nad największą liczbą chorych. Profesorowie wymagają częstokroć bardzo drogich lekarstw dla różnych doświadczeń na polu medycyny, chirurgii i t. d. i t. d. Przełożona na wszystko zgadzać się musi, a gdy opór stawia, natychmiast zawiadamiają o tem kanclerza uniwersytetu lub konsula Francyi.

W tym roku miały siostry w szpitalu wyjątkowo więcej pracy niż zazwyczaj. Dwa razy nawiedziła zaraza Bejrut i jego okolice. Przybysze z Trypolitanii przywieźli tyfus do Syryi. Zaledwie minęła ta plaga, która dotknęła wszystkich chorych w szpitalu — a znowu pojawiła się ospa. Nikt nie przybiegł siostrom z pomocą. Wedle możności rozlokowano chorych, gdyż z powodu wielkiej ich liczby zagrażała obawa nie przyjęcia ich do szpitalu.

Jeszcze nie wypróżnił się szpital i jeszcze nie przeprowadzono jego assanacyi, kiedy na nowo wybuchła pomiędzy robotnikami kolejowymi febra powołała siostry do podobnej pracy. Miłosierdzie chrześciańskie nie pozwalało ograniczyć się do zwykłej liczby chorych; wypadało przyjąć wszystkich zgłaszających

się. Chorzy, których w żaden sposób mimo najlepszej chęci przyjąć nie można było, znaleźli pomieszczenie w szpitalach schizmatyckich a szczególniej w protestanckich. Wydatki przewyższyły natomiast dochody o 12.000 franków; na pokrycie zaś tej sumy trzeba było zaciągnąć pożyczkę.

Bez względu na nasze opłakane położenie, uznali lekarze za rzecz niezbędnie potrzebną wybudowanie osobnego domu dla zarażonych, o których wspomniałam powyżej. Czyż możemy się odważyć na nowe wydatki? Opierać się będziemy tak długo, póki jakaś pobożna dusza lub dzieło Rozszerzenia wiary nie przybędzie z pomocą.

Raz-Bejrut. Jest tu 9 sióstr, 400 dzieci, 2 pracownie, apteka; nadto rozdają tu siostry jałmużnę i odwiedzają chorych.

To wszystko atoli czynić można tylko w skromnym zakresie. Ta odległa dzielnica Bejrutu nie mogła być obojętną dla sióstr; gdyż tam znajduje się wielu protestantów i wolnomularzy. Ażeby dać wyobrażenie o tym domu, wypisuję poprostu dosłownie sprawozdanie Przełożonej:

„Bezbożne szkoły, któremi dokoła jesteśmy otoczone, wymagają po nas niesłychanych usiłowań; dzieła protestantów mnożące się z dniem każdym, niewymowną sprawiają mi boleść. Ach! dla braku pieniędzy, dla tego, że nasze dochody są szczupłe, ginie tyle dusz około nas! Walka jest nierówna. Szkoły wolnomularskie znajdujące się tuż obok naszych, liczą prawie 400 dzieci, a ich dochody wynoszą 45.000 franków. Co rok zwiększają się ich dochody, gdy nasze równocześnie maleją. Żądamy tylko jednej rzeczy, t. j. by utrzymać dzieło już istniejące. O tę łaskę prosimy Boga ze łzami, bo inaczej byłybyśmy zmuszone porzucić misyą. Ach! jakiżto tryumf

byłby wówczas dla naszych sąsiadów t. j. protestantów i wolnomularzy. Wyznać to musiałam, jakkolwiek przeczuwałam Mości Księże Twoje zmartwienie z tej przyczyny. Niestety! Prawda to niezaprzeczona, że herezya czyni tu wielkie postępy! Ach! Ojcze — na wszystko Cię zaklinam, niechciej o nas zapomnieć, wspomnij na to, że niechybna zguba czeka te dusze, których zbawienie obecnie podtrzymujemy, które uczymy i bronimy, gdy nas konieczność zmusi porzucić misyą. Potrzeba nam odwagi do walki, męstwa w wierze, a oto prosimy gorąco Boga.

Bez względu na to, że ja i moje towarzyszki dołożyłyśmy wiele z własnych pieniędzy, mimo to, że najoszczędniej żyjemy, musiałyśmy zaciągnąć pożyczkę 40.000 franków".

Zouck Mikael. 9 Sióstr utrzumuje tu szkołę, do której uczęszcza 170 dzieci; nadto jest tu dom dla podrzutków i 15 starców.

Zouck jest wioską w pobliżu Antury. Skoro się tu tylko siostry osiadły, maronicka wioska zmieniła się do niepoznania. Mężczyzni i niewiasty umieją katechizm. Dom jednem słowem czyni tu wiele dobrego. Protestantom zabrakło odwagi osiedlić się wśród nas. Dzieło rozkrzewienia wiary nie odmówiło domowi swojej pomocy, a S. Przełożona Billy poświęciła nań własny majątek.

Brumana. Jest tu 5 sióstr, 40 podrzutków, szkoła dla dziewcząt wiejskich, szkoła dla dziewcząt, które są zatrudnione po fabrykach tkackich, należących do protestantów; pracownia dla kobiet, gdzie przy wykładaniu katechizmu równocześnie się uczą różnych robot; nadto apteka. Siostry odwiedzają także chorych w Brumana i okolicy.

„Jedynie licznym dziełom zawdzięczamy" pisze S. Przełożona, — „że się czyni cośkolwiek dobrego dla biednych Maronitów. Codzienna ich styczność z pro-

testantami, z Grekami, schyzmatykami i druzdami sprawia, że są obojętni na rzeczy tyczące się religii.“ Nadto pisze ona jeszcze: „Nasze położenie w Brumana jest bardzo trudne; z wszystkich stron otaczają nas protestanci, z którymi prowadzić trzeba bój zacięty. Brumana jest główną siedzibą protestantyzmu na Libanie; towarzystwa biblijne wszystkich krajów pozakładały tu liczne dzieła, które są dziś w kwitnącym stanie. Wiadomo, że mają niesłychane sumy do rozporządzania. W ostatnim czasie dowiedziałam się, że znaczna część dziewcząt, która bywała u nas na wykładzie katechizmu, otrzymała bezpłatnie mieszkanie i utrzymanie u protestantów. Nim się do nich udały, prosiły nas o to, a z bólem serca, z łzami w oczach odmówić im musiałyśmy, bo na to nie pozwalały nasze szczupłe dochody. Nieszczęsne wybrały apostazyą!

Protestanci założyli w Brumanie klinikę, gdzie pod względem materyalnym niczego nie brak zgłaszającym się. Przed wizytą lekarską chorzy i ubodzy muszą codzień wysłuchać kazania pastora lub katechisty; następnie przychodzą dyakonisse, uczą pacierza i różnych pobożnych textów; nigdy nie odchodzę, by zarazem nie zabrać z sobą tym biednym szkaplerzy, różańców, medalików, krzyżyków i t. d.

Ażeby zrównoważyć protestantyzm, czynimy możliwe i niemożliwe rzeczy. Nie dziw, że się cieszymy, iż konsul Francyi po długich a nieustannych prośbach zezwolił nam wypłacić 1000 franków. Jednakże i to bardzo mało, bo nam potrzeba 25—30000 franków.“

Tripolis. I tu podejmują Siostry liczne dzieła miłosierne; sama szkoła liczy 600 dzieci.

Przełożona zapewnia, że byłyby jeszcze liczniejsze, gdyby na to środki materyalne pozwoliły. Siostry

założyły w domu sierot fabrykę z warsztatami tkackimi, a dochody z nich pokrywają prawie koszta utrzymania. Nasi Misyonarze namówili Przełożoną, by za przykładem S. Gélas w Bejrucie otworzyła coś w rodzaju seminaryum, któreby dostarczało nauczycielek dla wiosek tej części Libanu, która graniczy z Tripolis. Dotychczas założono 7 szkół ludowzch, dla których seminaryum już dostarczyło kierowniczek.

„To dzieło" — pisze Przełożona — „było niezbędne; małe Maronitki nie wiedziały nawet tego, co do zbawienia koniecznie wiedzieć trzeba. Nikt przecież nie troszczył się o to. Jakkolwiek nie otrzymałyśmy ani grosza, na to dzieło, nie zawachałam się go przedsięwziąć. Każda z tych szkół ludowych kosztuje rocznie 500 franków, a więc razem 35000 fr., nieliczące naturalnie kosztów spowodowanych przez założenie seminaryum nauczycielskiego.

Damaszek. Tutaj 22 Sióstr utrzymuje szkołę, ochronkę, szpital; w jednym domu zaopatrzono 80000 ubogich, w drugim 64000.

Damaszek dla fanatyzmu swoich mieszkańców uchodził zawsze za miasto na wskroś muzułmańskie. Ażeby nie wywołać oburzenia, staramy się o skromne mieszkania i urządzenia. Rzezi z r. 1860 nie zapomniano jeszcze w Damaszku. Chociaż nie robimy rozgłosu, przecież nasze stosunki z najznakomitszemi rodzinami miasta są nieraz jak najlepsze. Obecnie znaczna część tych rodzin wysyła swoich synów do szkoły Misyonarzy, córki do Sióstr.

W dzisiejszych czasach europejska cywilizacya przenika Damaszek. Dwie linie kolei żelaznej wychodzą z Damaszku: jedna przez Hauran do Palestyny, druga przerzynając Libanon i Antylibanon, łączy Damaszek z Bejrutem. Nasiąpił tu zupełny przewrót;

niegdyś tak wysoko posunięta cywilizacya na nowo odżyła. Czyż przypadkiem nie czas, byśmy gorliwej przystąpiły do dzieła? byśmy w tem naśladowały protestantów? Wielu tego pragnie i doradza nam to w sprawie wiary. Stowarzyszenia kolei żelaznej, konsulowie Austryi i Włoch a przedewszystkiem konsul Francyi nalega, ażebyśmy przynajmniej otworzyły szpital. Opieramy się, ale czyż słuszność po naszej stronie? Czyż na tem Francya, religia i my nie tracimy, że odrzucamy wszystkie propozycye?

Przełożona w niemałym się znajdowała w kłopocie, gdy nalegano na nią z wszystkich stron. Z tej przyczyny prosiła, by Ojciec Generał upoważnił ją do żądania i przyjęcia pewnej kwoty pieniężnej w celu wybudowania szpitalu, do zakupienia za 12000 franków gruntu, który wszyscy za najodpowiedniejszy osądzili i do wystawienia domu na tym gruncie, który byłby zawiązkiem przyszłego szpitalu. O. Generał odmówił swojego pozwolenia aż do obecnej chwili, lecz czyż można opierać się jeszcze dłużej, gdy się protestanci spodziewają i naprawdę o tem myślą, by zająć nasze miejsce? Czyż się nie opóźnimy? Przełożona obawia się tego i temi słowy kończy swoje sprawozdanie:

„Pieniędzy chyba nigdy jeszcze nie obrócono na lepszy cel. Protestanci zamierzają zająć nasze miejsce, widząc, że tak bardzo się ociągamy. Wielu Europejczyków jest tu z powodu robót przy budowie kolei żelaznej; często zapadają na zabójczą febrę, a serce się krwawi, że śmierć pożąda tylu ofiar, i że żadnej wydrzeć jej nie możemy. Ach! tak uboga, chora i opuszczona jestem jak jaki cudzoziemiec w naszym kraju!"

Jerozolima. Tu 16 sióstr utrzymuje szpital dom dla star-

ców, dzieci opuszczonych; w domu udziela się pomocy 700 biednym; Siostry są również zajęte przy szpitalu miejskiem, muzułmańskiem; często wypada im opiekować się trędowatymi.

Ten nowy dom ściągnął na siebie w ostatnim czasie uwagę członków zarządu Rozszerzenia wiary. Zdaje mi się, że nie powinnam się tym razem ograniczyć prostem wyliczaniem wypadków. Na razie dodam tylko to, że się dom podnosi i z pewnością żaden zastój nie zastąpi, jeżeli będą potrzebne dochody, które bądź co bądź nie są tak wielkie, jak je sobie S. Sion przedstawiała.

Ażeby okazać, jaki wpływ pozyskało sobie tu Zgromadzenie nasze w tak krótkim czasie, pozwolę sobie przytoczyć słowa pewnej znakomitej osoby wyrzeczone na Kongresie eucharystycznym:

„Córki św. Wincentego oto główny powód, dla którego kongres eucharystyczny przyszedł do skutku. Aż do r. 1886, t. j. aż do ich przybycia miała Jerozolima liczne zakony, które wprawdzie wykonywały uczynki miłosierdzia, ale tylko w obrębie swoich murów; Żydzi i Turcy wątpili o nich. Kiedy atoli Siostry Miłosierdzia dalekie od ukrywania się, same odszukiwały biednych, chorych, trędowatych, których najstaranniej pielęgnowały, wywarły tak wielkie wrażenie, tak bardzo je podziwiano, że Turcy wzięli całe Zgromadzenie w swoją opiekę. Córka Miłosierdzia zwiedza koszary, więzienia, ich meczety stoją dla niej otworem, — jednem słowem przebiega bezpiecznie ulice tego miasta muzułmańskiego, a wszędzie otaczają ją taką czcią i szacunkiem, jakąby na próżno szukała na ulicach Paryża. To są nasze Siostry — mówią Żydzi i Turcy. — Mojem zdaniem one głównie otworzyły bramy tego św. miasta kardynałowi legatowi Leona XIII“.

Betleem. 9 Sióstr mieszkających tutaj utrzymuje szpital i kilka razy w tygodniu zwiedzają chorych w okolicy.

„Szpital w Betleem — pisze Przełożona S. d'Aiguillon — jest zawsze przepełniony. Mury naszego domu są już dość nadwerężone, pieniędzy potrzeba nietylko na jego odnowienie, ale także na zaopatrzenie go w potrzebne rzeczy. Dla braku funduszu przerwana została budowa zakładu. Dotychczas separatki położone w trzech pawilonach już wykończonych nie mogły być oddane na użytek chorych, co tem przykrzejsze, że tylu pielgrzymów przybywa do Ziemi św. Ci uległszy wypadkom, doznają rozczarowania, gdy nie mogą być pomieszczeni wygodnie w domu, którego widok już zdala budził w ich sercu błogie nadzieje. Ach! ileżto dobrego działoby się dla wiary, gdybyśmy miały fundusz na ukończenie budowy. Protestanci założyli tu przed kilku miesiącami swoją siedzibę. Oby nam Opatrzność pomagała w prowadzeniu walki!

Władza duchowna nas wzywa, ażebyśmy założyły szkoły także po za obrębem miasta. Ciemnota ogromna! Byłoby to wielkiem dobrodziejstwem dla ludności tutejszej dotąd tak bardzo opuszczonej.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drugie sprawozdanie z misyj w Galicyi odprawionych w r. 1895.

(Wyjątek z listów IMC Ks. Sokołowicza do Przew. IMC Ks. P. Soubieille, Wizytatora Prow. krak.).

Skoro tylko Najprzew. X. biskup Puzyna objął zarząd dyecezyi krakowskiej, zażądał zaraz misyonarzy do misyj mających się odbyć w miejscach, dokąd

z wizytą biskupią udać się zamierzał. Że jednak przyrzeczone już były misye w dyecezyi tarnowskiej, na razie nie mogliśmy się podjąć takichże w krakowskiej. Ale z chwilą, gdy uiściliśmy się z przyrzeczenia danego proboszczom tarnowskiej dyecezyi, o ile było można najprędzej starano się zastosować do życzenia Najprz. X. biskupa. Przeznaczył on Zgromadzenie Misyi do pracy w kilku parafiach około Żywca.

„W sobotę, dnia 18 maja, a więc po czterodniowym tylko wypoczynku, udaliśmy się do Gilowic, aby starym zwyczajem rozpocząć misyę w niedzielę. Jadąc przez Żywiec, wstąpiliśmy do domku naszych Sióstr, które nas przyjęły jak Łazarzowe siostry Pana Jezusa w Betanii, odprawiliśmy im nabożeństwo majowe i ruszyli wieczorem na miejsce pracy. Gilowice, wioska położona w uroczej kotlince między górami i lasami, na sam pierwszy widok bardzo przyjemne wrażenie na nas sprawiły. Kościółek dosyć obszerny modrzewiowy z daleka było widać. Dosyć długo jechaliśmy wzdłuż wioski — wreszcie furmani nasi stają przed jakąś chałupiną nędzną i zapowiadają, iż to plebania. Boże się zmiłuj! cztery ściany, ledwie się jedna drugiej trzyma, dach jakoś na bakier, stary, podziurawiony, płoty powywracane — tu proboszcz, piastun boży mieszka; ale i to u górali ujdzie. Poskładaliśmy rzeczy, otrzepali się z kurzu i poszli na nabożeństwo majowe. Nie zapomnę nigdy tej chwili, jakeśmy wtenczas weszli do kościółka. Tu wszystko zielenią przybrane, we wielkim ołtarzu stoi śliczna figura Najśw. Panny z Lourdes, ołtarz ślicznie oświetlony, ludu w kościele, ani się przepchać, a wszystko gorącem sercem wychwala Najśw. Pannę. Tu nam się Gilowiczanie spodobali. Po nabożeństwie rozmieszczamy się jak możemy na plebanii. Proboszcz, cho-

ciaż biedny, ale serdeczny, przyjął nas po bratersku i biedą się z nami dzielił. Było nieco niewygody, a nadto dokuczało nam zimno, bo tu już górski klimat, ale zacne serce X. proboszcza osłodziło nam trudy. Lud tu rozbudzony, ciekawy, pojętny. Misya rozpoczęła się na drugi dzień, tj. w niedzielę na sumie — jak to zwyczajnie robimy. Przemówił X. proboszcz od serca zachęcając parafian, by z tej osobliwszej łaski Pana Boga korzystali, i przypomniał słowa Pawła św.: „To jest wola Boża — uświęcenie i zbawienie wasze“. Trzecia misya i to jedna po drugiej. Przed rokiem pracowali tu OO. Redemptorzyści, tego roku ciż sami mieli tu renowacyę misyi — a w kilka miesięcy po nich my przyjeżdżamy. Bóg jeżeli kogo — to szczególniej Gilowiczan chce zbawić. — Parafia tu niewielka, właściwie ekspozytura, wszystko w miejscu, zresztą lud przerobiony świeżo poprzedniemi misyami, to praca szła lekko. W tygodniu wyspowiadaliśmy: kobiet i dziewcząt 750, a mężczyzn i chłopców 650. Po raz pierwszy mieliśmy tu sposobność przypatrzyć się bliżej parafii po pracy WW. OO. Redemptorzystów, ale to chyba tylko pomnożyło cześć i poważanie, jakieśmy dla nich mieli, znając ich tylko z opinii. Do św. trzeźwości ułowiliśmy tu razem 400 osób — reszta wszyscy już poprzednio do tego stowarzyszenia przystąpili. Kiedyś, dawniej pijaństwo było tu podobno zagęszczone bardzo, ślady tego jeszcze napotkać można. Karczma tuż przy plebanii stoi jak pałac, podczas gdy plebania ubożuchna. Weszło tu było już w zwyczaj przy karczmie popasać, kiedy wracają z jarmarku ze Żywca. Dziś karczma opuszczona. Żydek tu dosyć zamożny, niegdyś miał odbyt wielki, ale jak przyszły misye jedna po drugiej, stracił zupełnie dawną powagę i od

września myśli z Gilowic się wynieść. Nam paczki i listy z poczty nosił, podchlebiał się jak mógł, żebyśmy tylko na niego nie powstawali. Ale napróżno: ludzie do karczmy ani nie zajrzą, służba odeszła od niego i na to mu przyszło, że sam musiał krowy paść. A parafianie już uradzili, że na tem miejscu, gdzie tyle obrazy boskiej było dawniej, nowy dom dla sługi bożego wystawią. Przyszłość Gilowic wcale ładnie się zapowiada. W sobotę 25 maja zakończono misyę zachęcając do wytrwałości w dobrem, co tem więcej potrzebne, że lud tutejszy dalekie odbywa za chlebem wędrówki, na Śląsk i do Królestwa Polskiego, a więc nie pozostaje czas dłuższy pod okiem swego proboszcza.

Nazajutrz odprowadzono nas w procesyi, proboszcz podał pacyfikał i wodę święconą i pożegnał wśród płaczu licznie zebranej ludności.

Rychwałd. W niedzielę dnia 26 maja ruszyliśmy na drugą misyę w tym dekanacie, jeszcze bliżej Żywca, tj. do Rychwałdu. Parafia liczy przeszło 6000 dusz, misyi tu nie było, jak dawno parafia istnieje. Kościół wielki, murowany, wygodny. Doznaliśmy i tutaj wielkiej serdeczności. Praca szła ciężko, bo tu jeszcze ziemia nie ruszona zupełnie, a pomocy przytem bardzo niewiele. Przy końcu na odpust przybyło trochę księży z sąsiedztwa i wyspowiadaliśmy co było w parafii. Kobiet 1200, dziewcząt 650, chłopców 600 i gospodarzy 1000. Do Trzeźwości św. zapisało się 2500. Lud tu dosyć dobry i pobożny. Od kilku lat zaprowadzono tu muzykę na dętych instrumentach i nieźle grają. Najwięcej nas tu budowali poczciwi chłopi. Wielu z nich pracuje we fabrykach w Bielsku i dalej na Śląsku, a jednak na misyę prawie wszyscy stanęli i chodzili na wszystkie nauki. Którzy zaś nie

mogli w zupełności zastosować się do planu misyjnego, wypisali list zbiorowy do X. proboszcza, by się nimi osobno zająć. Właśnie wypadły w czasie misyi Zielone Świątki, to też te dwa dni, jako najdogodniejsze, dla nich się przeznaczyło. Odznaczają się szczególniejszem przywiązaniem do rodzinnego kąta — na każde święto i niedzielę starają się rodzinę odwiedzić, schodzą się wtenczas pilnie na nabożeństwo parafialne. Z usposobienia mają wiele podobieństwa do poczciwych Ślązaków. Do wiary i kościoła przywiązani, zetknięcia się z protestantami i socyalistami na nich nie znać. Podobno po misyi trzymają się dobrze. Pijacy utrzymują się w trzeźwości, krzyki i hałasy nocne po wsiach ustały, grania i schadzki po karczmach wyszły z mody Daj Boże, by wszyscy wytrwali! We wtorek 11 czerwca postawieniem krzyża zakończono misyę. Już od rana tłumy ludu ściągały się do kościoła, ścisk był niezwykle wielki. Wszyscy, od proboszcza począwszy aż do ostatniego parafianina, byli zadowoleni z misyi.

Jeleśnia. We wtorek po Trójcy św. zakończyliśmy pracę w Rychwałdzie, zaczekawszy jeszcze jeden dzień, który zeszedł na spowiadaniu resztek, zaprowadzaniu stacyi Drogi Krzyżowej, następnego dnia, tj. w środę wieczorem, wyjechaliśmy stąd do Jeleśni, by tam znowu przy przy święcie, tj. w Boże Ciało, misyę rozpocząć. Parafia ogromna — przeszło dwa razy większa od Rychwałdu, liczy około 13000 dusz, wioski rozrzucone po górach, niektóre o dwie mile odległe od kościoła parafialnego. Rozpoczęcie misyi nastąpiło, jak zwyczajnie, na sumie. X. proboszcz Jamiński, były żołnierz z r. 1863, w ciepłem a zarazem energicznem przemówieniu, zachęcił parafian, by wszyscy, od najświętszych począwszy aż do

największych grzeszników z jego parafii, w tem nawiedzeniu pańskiem udział wzięli — wyraził pragnienie, żeby głos jego doszedł aż do najwyższych „groni“, do ostatniej chatki jego parafii i żeby wszyscy na te gody duchowne pośpieszyli. Lud tu rozrzucony, parafia co do obszaru wielka, więc niełatwo może się dostać do kościoła i posłuchać słowa Bożego, nie wchodzi więc w siebie i mało sobie zadaje pracy w sprawie zbawienia. Jak zawsze tak i na misyi koniecznie muszą się popychać, wyprzedzać przy konfesyonale, spokojnie nie mogą przystąpić. Kobiety, gdzieindziej najpierwsze do misyi, najłatwiej się naukami przejmujące tu jednak było inaczej: nauki ich niebardzo zajmowały. Rozdano im 2500 kartek. W uroczystość Serca Pana Jezusa pełen kościół — była to komunia panien. W seryi młodzieńców brały udział i dzieci szkolne starsze; szkołom zostało to polecone. Pochwały i uznania godną również jest rzeczą, że i urzędnikom kolejowym udzielono czterodniowego urlopu na odprawienie rekollekcyj.

Miejscowi księża i sąsiedni pomagali nam z całem poświęceniem. Co dopiero pokończyli wielkanocną spowiedź, przytem pracy w tak licznej parafii w dzień wiele, a jednak od świtu do zmroku siedzieli w konfesyonałach i budowali nas swoją gorliwością. Ksiądz proboszcz zajęty kancelaryą parafialną — o ile mógł spieszył do kościoła z pomocą. Niewiele mógł spowiadać, to przynajmniej krótkiemi przemówkami zagrzewał ludzi, by się szczerze do pokuty brali. „Chłopi! — powiada im pewnego razu — macie się nawrócić, to nie żartujcie, a nie, to kapelusze do ręki i dalej na „gronie“; tu czasu daremnie nie marnować!“ „Co, wyście z mojej parafii? „Ba jako!“ — odpowiedzieli — to coś dziwnego, co niedzielę popatrzyć na kościół, to

sam drobiazg... siedm lat tu jestem proboszczem, a jeszcze żadnego z was w kościele nie widziałem!“ Takie i tym podobne przemówki jego wielce budziły zaspane góralstwo. Przyznawali się też niektórzy, że kiedy im o misyach mówiono, mieli postanowienie wcale w misyi udziału nie brać, ani się nie pokazać w kościele, ale skoro misya nastała, powiadali: „Wiecie, ci *„misyanci“* — to musieli nam jakichś czarów zadać, tak coś człowieka ciągnie, choćbyś i nie chciał, to musisz iść“. — Zagęszczone tu było pijaństwo. Kobiety nawet, co rzadko gdzie się napotyka, nietylko same zawodowo temu nałogowi się oddawały, lecz nadto służyły żydom za pomocniczki w wyszynku, za tak zwanych „słupków“. W każdej wsi po kilka takich kramarek było. Po misyi pijaństwo znacznie się zachwiało. Ogółem przystąpiło do św. Trzeźwości około 5600 osób, a znaczna liczba ponawiała ślubowanie dawniej uczynione. Pisał niedawno jeden z księży wikaryuszów, że po misyi „zmianę aż w powietrzu czuć“. Daj Boże, by to nie przeminęło prędko!

W pracy nam tu pomagali ze sąsiedztwa: X. Sztafa, proboszcz z Koszarawy, X. Brzeźniak, wikaryusz ze Slemienia, O. Filip, reformat z Kęt, tudzież zacni wikaryusze z Rajczy: XX. Syc i Figuła, z którymi mieliśmy się wkrótce bliżej zapoznać. Przy końcu jednak i to wszystko było za mało, więceśmy aż do Krakowa wołali. Czcigodny Ksiądz Wizytator przysłał nam konfratrów XX. Bayera i Wrodarczyka i przy ich pomocy zakończyliśmy pracę w Jeleśni. Wyspowiadanych: kobiet 2500, dziewcząt 1500, chłopców 1300, mężczyzn 1800. Ogółem z dodatkami około 8000. Konkluzya misyi wypadła na samą uroczystość świętego Piotra i Pawła, pierwszych i największych misyonarzy. Zabawiliśmy tu jeszcze jeden dzień, tj. nie-

dzielę — a w poniedziałek wyjazd do Krakowa na wypoczynek. Wyjazd nasz był pochodem tryumfalnym, urządzono nam wspaniałe pożegnanie. Bractwa kościelne z chorągwiami i odznakami swojemi odprowadziły nas aż na dworzec kolei, muzyka grała marsze i pieśni pobożne, kwiatami nam wysłano i zarzucono wagon. Tak nas jeszcze nigdzie nie żegnano, jak w Jeleśni.

Rajcza. Wytchnąwszy trochę w Krakowie, wybraliśmy się następnego dnia po uroczystości Naszego św. Ojca na tę i naszą i wogóle w dekanacie ostatnią misyę. Tu już misyonarzy znali — bo przed 13 laty śp. X. Bąkowski, X. Kowalik i X. Ptaszyński odprawiali tu misyę. Wogóle praca szła bardzo łatwo, bo wielu już na ostatniej misyi spowiedź generalną odprawiło. Największa trudność z mieszkańcami dalekich wiosek, którzy najwyżej kilka razy na rok do kościoła przyjść mogą. Zimą zwłaszcza, gdy przyjdą zadymki, śnieg zawieje drogi, ani myśleć o tem, by się dostać na dół. Biedni ci ludzie nieraz bez kapłana umierają, bo dojść do nich nie można. Robiliśmy z nimi, co się dało. Parafia tu wielka, piszą że liczy 13000, a mówią, że ma około 16000 dusz. Są to po większej części osady rozrzucone po niedostępnych szczytach i zaroślach. Przy rozpoczęciu misyi wzięliśmy udział w poświęceniu domku przeznaczonego na sklepik kółek rolniczych. Urządzono wspaniałą procesyę do tego domku — po dokonaniu aktu poświęcenia przemówił X. kanonik Paleczny, miejscowy proboszcz, a następnie jego pomocnik, X. Syc, senior wikaryuszów, zachęcając, by się trzymali i wspierali wzajemnie katolicy a nie chodzili do karczem i szynkowni żydowskich. Przez cały przeciąg misyi, sklepik w wolnych od nabożeństwa chwilach był przepełniony,

po kilku subjektów wydawało artykuły a nie mogli nadążyć. Przeciętnie dzienny obrót wynosił najmniej 100 złr. Była to najwspanialsza reakcya przeciw zgubnym wpływom żydowstwa, rozwielmożnionego tutaj, jak rzadko gdzie. Przy dobrem sercu proboszcza, który jak matka około nas chodził i przez cały czas otaczał troskliwością i staraniem aż do zbytku, dobrze nam było w Rajczy pracować. Pomocy przytem ze sąsiedztwa wiele — bo zacni XX. wikaryusze tutejsi, kiedy u sąsiadów były misye, na wdzięczność sobie zarobili. Prawie codzień przybywali z pomocą z Milówki, Cięciny, Żywca — a i Jeleśnia o nas nie zapomniała. Wyspowiadano: kobiet 3000, dziewcząt 1200, chłopców 1300, gospodarzy 2000. Urzędowo zakończyliśmy pracę w parafii dnia 6 sierpnia. Ale wypadło jeszcze chwilkę zabawić. Po wsiach inkorporowanych mają tu kapliczki, które dla niektórych z nich większej są wagi, aniżeli kościół parafialny, do którego tak trudno nieraz się dostać. Do jednej z takich kaplic, tj. w Soli, zaproszono nas z nabożeństwem. Pojechało nas misyonarzy dwóch i dwóch księży z parafii. Ludu się zbiegło ze 3 tysiące, bo miejscowość ta graniczy z 2 czy 3 wioskami parafii milowskiej. Muzyka z Milówki grała przez 4 wotywy. Jeden z nas powiedział kazanie, huk moździerzy rozlegał się aż poza Zwardoń. Na drugi dzień znowu zaprosili na takież nabożeństwo do wsi Ujsoły — i takby się było ciągło gdzie do św. Michała — ale i tego dobrego dosyć. Wyjechaliśmy do Krakowa 7 sierpnia, żegnani procesyami, obsypani kwiatami — podobnie jak przed miesiącem w Jeleśni".

Niektóre szczegóły z życia Joanny Schwartz, Siostry Miłosierdzia, zmarłej w domu centralnym w Warszawie dnia 4 kwietnia 1894 r. mając 90 lat życia a 65 powołania.

(Dokończenie). Szczupły zakres tego opisu nie pozwala wchodzić w szczegóły. Dostatecznie wykazują wyjątki z listów S. Schwartz, jak prostą i energiczną była, jak zapominała o sobie samej, ażeby pozostać wierną powołaniu i w niem utwierdzać rodzinę, którą jej Bóg powierzył. Stwórca nie zapomniał o jej ustawicznych ofiarach, bo wzmacniał jej odwagę i pozwolił patrzeć na dobro, które pomimo tylu burz, się działo: ubodzy nie byli opuszczeni, wszystkie potrzeby chorych zaopatrywano po szpitalach. Bóg pozwolił, że od czasu do czasu dała nowy dowód tej prawdy, że miłość, która wytrysnęła z łona religii katolickiej, jest powszechna i że córka Miłosierdzia jest zawsze gotowa poświęcić wszystkie swoje siły a nawet życie, gdy chodzi o przyniesienie ulgi cierpiącym bez względu na ich narodowość i religią. W r. 1877 wybuchła wojna między Rosyą i Turcyą. Córki Miłosierdzia mogły się tylko opiekować chorymi i rannymi w szpitalach, dokąd ich sprowadzono z pola walki. Tymczasem utworzyło się pod wpływem rządu nowe stowarzyszenie zwane stowarzyszeniem czerwonego krzyża, które się składało z schyzmatyków i protestantów, a opiekunowie tego dzieła polecili Siostrom Miłosierdzia opiekę nad chorymi w polnych szpitalach w Brylhowie i w wagonach sanitarnych. Tego samego życzyła sobie cesarzowa rosyjska. S. Schwartz się mocno zaniepokoiła z początku na myśl o niezliczonych trudnościach, a zwłaszcza to ją niepokoiło, że jej towarzyszki razem z schyzmatyczkami

będą. Po długiej atoli rozwadze i zastanawianiu się nad tym punktem, zgodziła się na ten projekt. „Prawda, że wiele będzie do cierpienia — mawiała — ale natomiast będzie można jedne dusze pozyskać dla Boga w chwili śmierci, drugie dla religii“.

Warunki, które przedłożyła, przyjął komitet — a mianowicie, że siostry schyzmatyckie o kuchnię i wydatki starać się będą, Siostrom Miłosierdzia zaś, którym nie odmówią pociechy religijnej, poruczona będzie wyłącznie opieka nad chorymi i nad apteką. Sama S. Schwartz wprzód zwiedziła owe wagony sanitarne i przekonała się, że siostry będą miały dostateczną wygodę. Jeden wagon, w którym się znajdowało 5 łóżek, jedno nad drugiem, miał służyć za dormitarz, drugi na miejsce wspólnej rozrywki a inny znowu na aptekę; za tymi wagonami znajdowały się wagony przeznaczone dla chorych, lekarzy, infirmarzy a na samym końcu kuchnia i mieszkanie pięciu pań sióstr „Czerwonego krzyża“. Pod koniec września 1877 r. ulokowała S. Schwartz 5 sióstr w wagonach sanitarnych a przez 11 miesięcy córki św. Wincentego objeżdżały obszerne państwo rosyjskie od północy na południe, od wschodu na zachód, przewożąc chorych z jednego miasta do drugiego.

Podczas ich podróży wznosiła dobra wizytatorka bezustannie serce i ręce ku niebu, prosząc P. Boga za podróżującemi Siostrami, które były wystawione na różnego rodzaju niebezpieczeństwa; to samo czynić polecała swoim towarzyszkom. Nigdy nie zaniedbała dodać im nowej odwagi, gdy się do tego nadarzyła okazya. Listy, które od nich otrzymała i których doczekać się nie mogła, odczytywała na rekreacyi przed wszystkiemi Siostrami, zachęcając je, by dziękowały P. Bogu za cudowną opiekę, którą otacza

ich towarzyszki. Prawie co 2 miesiące przyprowadzały Siostry chorych do Warszawy. „Trzebaby widzieć — powiada jedna z nich — jak uprzejmie nas przyjmowała; szczegółowo pytała się o nasze potrzeby duchowne i doczesne, o zdrowie każdej z osobna i czy praca nie jest nad nasze siły“.

Po skończonej wojnie otrzymała S. Schwartz od cesarzowej list z podziękowaniem za poświęcenie, które okazywały jej córki w pielęgnowaniu chorych i rannych; komitet ofiarował jej pewną sumę pieniędzy, lecz ona odpisała: „Dla P. Boga poświęcamy się wyłącznie, Jego tylko szukamy we wszystkiem i On nam wystarczy“. Damy stowarzyszenia Czerwonego krzyża ofiarowały S. Schwartz dla kaplicy monstracyą z napisem: „Miłosierni miłosierdzia dostąpią“. Przez ten podarunek dały panie schyzmatyckie i protestanckie nieświadomie dowód o potędze przenajśw. Eucharystyi, która jest źródłem poświęcenia posuniętego częstokroć do heroizmu. — Niewysłowiona była jej radość, kiedy widziała, że nawet nieprzyjaciele składają hołd kościołowi katolickiemu. Rozrzewniona zawołała: „Cierpimy z kościołem, tak jak on jesteśmy prześladowane. Czyż ta myśl nie dodaje nowej otuchy? Małe cierpienia moje ofiaruję za kościół św. i za Ojca św.“

S. Schwartz się wiele modliła, a gdy wiek nie pozwalał jej prowadzić takiego życia czynnego jak przedtem, spędzała całe godziny przed Przen. Sakramentem. Po kościele kochała najbardziej Zgromadzenie; z niem podzielała wszystkie błogie i smutne chwile. „Ach! jakżeż cierpię okropnie — pisała do czcig. matki Felicyty Lequette po wojnie 1870 r. — wiedząc, że jesteś w niebezpieczeństwie a nie mogąc odbierać wiadomości z domu macierzyńskiego. Jakżeż

wdzięczną jestem zarazem czcig. X. Generałowi, że mi łaskawie doniósł o dziwnej opiece, jaką Bóg otacza nasze Zgromadzenie“. Nieco później dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, jakie zagrażało Zgromadzeniu we Francyi pisała: Zawsze jesteśmy u stóp krzyża, lecz nasze cierpienia maleją, kiedy sobie przypominam na Twoje położenie czcigodna Matko!“

50-letnia rocznica objawienia cudownego medalu i beatyfikacyi Bł. Jana Gabryela Perboyre były prawdziwą osłodą ostatnich lat jej życia. Niewymowną pociechę sprawiała jej każda łaska, którą Bóg zlał na Zgromadzenie, nigdy nie zapomniała P. Bogu dziękować za powołanie, do którego coraz więcej lgnęła, nigdy słów znaleść nie mogła, by wyrazić swoje przywiązanie do Zgromadzenia. Pragnęła, ażeby prowincya Warszawska a szczególniej dom centralny jak najuroczyściej obchodził rocznicę cudownego medalu i beatyfikacyą Bł. męczennika. Nader przyjemną była dla niej wiadomość, że podniesiono sprawę beatyfikacyi świątobliwej Założycielki, nieustanne hymny dziękczynne zanosiła do Boga za łaskę doczekania się tej błogiej chwili. Jedna z pierwszych postanowiła częściowo pokryć koszta procesu beatyfikacyi mówiąc, że słuszną jest rzeczą, ażeby w tem prowincya warszawska brała gorliwy udział. Pobożność S. Schwartz nie mniejszą była od przywiązania do Zgromadzenia. Przedewszystkiem cechowała ją punktualność w ćwiczeniach wspólnych, nabożeństwo do Matki Najśw. i gorące pragnienie jak najczęstszego przystępowania do stołu Pańskiego. Na pamiątkę przybycia Czcig. Ojca Etienne 17 czerwca 1860 do Warszawy kazała S. Schwartz wznieść posąg Matki Boskiej na tem miejscu, na którem się siostry zgromadziły, by przyjąć Generała Zgromadzenia. Tę jakoteż

inne łaski przypisywała Najśw. Maryi P. Przez ten akt chciała prowincyą warszawską oddać pod Jej macierzyńską opiekę, której Zgromadzenie już tyle razy doznało. Wyjątkową czcią otaczała obraz Niepok. Matki Bożej, który podarowała świątobliwa Założycielka Zgromadzeniu.

S. Schwartz nie zgodziła się nigdy na to, ażeby w czasie choroby przyjąć Komunią św. w łóżku. „Czyż podobna, mawiała, ażebym nie miała przyjąć klęcząc Boskiego Zbawiciela, który odwiedzać mnie przychodzi?“ Po długiem a gorącem przygotowaniu przyjmowała Przen. Sakrament tak ubrana jak zwykle — a po Komunii św. odprawiała długie dziękczynienie.

Mimo 90 lat zdawało się, że S. Schwartz kilka jeszcze lat żyć będzie. Tego się każdy spodziewał i zarazem gorąco pragnął, gdyż jawnem było, że ona ściąga błogosławieństwo z nieba na prowincyą warszawską. Na początku atoli czterdziestodniowego postu dokuczał jej kaszel i w widoczny sposób słabła. Proszono ją ażeby jadła mięso, lecz zgodziła się po długim uporze jeść takowe 2 razy tylko na tydzień. Łatwo się domyślano po jej czynnościach, że ostatnie chwile swego życia wyłącznie poświęcić chce pracy. Bywała wszędzie, odwiedzała chore siostry w ich domach nawet, wszystko chciała widzieć i wszystkiego dotknąć swoją ręką. W Wielkim tygodniu czuła się słabą, lecz brała udział w nabożeństwie. Po Wielkiej nocy czuła się jeszcze słabszą; nie żądała lekarza, tem się wymawiając, że się gotować musi do odnowienia ślubów, które się zbliżają. W dzień Zwiastowania Najśw. Maryi P. była na konferencyi, którą miał dyrektor; zmęczona i osłabiona nie mogła w nocy po tej uroczystości zmrużyć oka z powodu gwałtownego i ciągłego kaszlu a mimo to wstała w następ-

nym dniu nie chcąc się pozbawić komunii św. Musiała jednak wyjść z kościoła a lekarz oświadczył, że jej stan jest bardzo niebezpieczny, bo się życie już wyczerpało. Następnie położyła się S. Schwartz mówiąc: „Jutro jest uroczystość św. Józefa — wstanę o godz. 4tej. Od dziesiątej godziny w wieczór nie chciała przyjąć żadnego posiłku z powodu Komunii św., do której przystąpić sobie życzyła. Śmierć się szybko zbliżała; przy chorej był dyrektor już przed czwartą godziną, udzielił jej wijatyku, który, złożywszy ofiarę z swego życia, przyjęła z rzewną pobożnością.

Na wiadomość o niebezpieczeństwie, w jakiem się znajdowała S. Schwartz, zgromadziły się siostry z całej Warszawy około umierającej, która tak do nich przemówiła: „Mówić nie mogę; — o! kochane siostry, proście P. Boga za mną i wzajemnie się miłujcie“. Następnie na prośbę assystentki wszystkie pobłogosławiła. O godzinie drugiej prosiła o różaniec; zapytano ją, czy chce, ażeby go odmawiano głośno. „Tak“ — odpowiedziała łącząc swoją modlitwę z modlitwą sióstr. Oczy miała zawsze przymknięte. O godzinie trzeciej kazała sobie podać krucyfiks i rzewnie go całowała. Około 4 godz. wychodząc z łóżka i biorąc ubranie oświadczyła, że pójdzie do tego pokoju, w którym przyjmowała siostry. Matko — mówiono jej — trzeba naśladować świątobliwą Założycielkę, która chętnie pozostała na łożu boleści, ażeby być złączoną ze Zbawicielem przybitym do krzyża. Zastósowała się niezwłocznie do tego polecenia. „Jezus, Marya, Józef“, podszepnęła jej jedna z sióstr. „O! bezustannie wzywam ich pomocy“ — odrzekła. Mniemano, że już można odmawiać modlitwy za konających i podano jej gromnicę. Nie przyjęła jej, dając do zrozumienia, że jeszcze jest za wczas. Assystentka

przypomniawszy sobie, że ma ważny papier do podpisania, podała takowy czcig. chorej: podniesiono ją, a ona zapytała, czy po polsku lub rosyjsku ma napisać; drżącą ręką podpisała. O 5 g. bladość śmiertelna okryła jej oblicze, odmawiano modlitwy za konających; ona zaś mocno trzymała gromnicę. Nie ukończono jeszcze modlitw a S. Schwartz zasnęła w Panu tak słodko, iż nie spostrzeżono ostatniego tchnienia. Było to o $^1/_2$6 w chwili, w której przez długie lata klęczała przed tabernaculum, korząc się przed Bogiem i prosząc Go o pomoc i odwagę przeciwko prześladowaniu ludzi.

Wielkiej czci doznało ciało czcig. S. Schwartz po śmierci ze strony duchowieństwa warszawskiego. Przez 3 dni, podczas których było wystawione ciało, odprawiały się msze św. przy wszystkich ołtarzach kościoła za spokój jej duszy. W ostatni dzień celebrował J. Ex. Arcybiskup — a po mszy św. wygłosił mowę na jej cześć wobec kapituły katedralnej, przeszło 50 księży i niezliczonego tłumu bogatych i ubogich. Kończąc w te słowa się odezwał do sióstr: „Religia czysta i bez zmazy wobec Boga polega na przynoszeniu ulgi sierotom i wdowom w ich nieszczęściu i na tem, by czystym i nieskalanym być wśród powszechnego zepsucia. Oto droga, którą postępując uczcicie pamięć waszej drogiej Matki i zarazem przyniesiecie prawdziwą pociechę jej duszy! Oby Bóg za pośrednictwem św. Wincentego i waszych żarliwych modlitw policzyć raczył wierną Swą sługę w poczet Swych wybranych! Ponieważ dobrą walkę stoczyła, swój bieg ukończyła i zachowała wiarę, już nic nie pozostaje więcej dla niej jak odebrać koronę sprawiedliwości, którą Bóg zachował dla tej, którą Sam ukoronuje!“

Misyonarze w Polsce.

Sprowadzenie Misyonarzy do Polski i pierwsze ich prace.

(Ciąg dalszy).

Kiedy zaczęły się pierwsze o sprowadzenie Misyonarzy starania, nie da się z zupełną oznaczyć ścisłością. Pierwszą pewną wiadomość podaje list świętego Wincentego z dnia 19 sierpnia 1650 r.[1]). Jak się z niego okazuje układy jednak były już na ukończeniu. Wnosić więc możemy, że negocyacye te sięgają roku 1649 a to z następującego powodu. Marya Ludwika myślała nietylko o sprowadzeniu Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia, ale także o sprowadzeniu Wizytek, tak pomyślnie rozwijających się we Francyi. Zakonnic tych użyć chciała w Warszawie do prowadzenia domu św. Maryi Magdaleny, gdzie dziewczęta moralnie upadłe a pokutujące znajdowały przytułek i opiekę. Już 12 maja 1649 r. pisała listy w tej sprawie[2]), a gdy w październiku tegoż roku sekretarz jej, pan Des Noyers wyjeżdżał do Francyi zaopatrzyła go w odpowiednią celowi instrukcyę[3]).

Znane były Św. Wincentemu zamysły królowej. Wybrany był Wincenty przez św. Franciszka Salezego i św. Franciszkę de Chantal na duchownego kierownika zakonu, a siostry niczego ważniejszego bez jego rady nie przedsiębrały. To też i w tej tak ważnej sprawie o jego prosiły zdanie[4]). Znanym mu był i p. Des Noyers. Sekretarz królowej otrzymał zapewne równocześnie polecenie porozumienia się ze świętym Wincentym, czyby nie mógł wysłać do Polski swych sy-

---

[1]) Lettres II. 265. [2]) Portofolio królowej Maryi Ludwiki, wyd. Raczyński. I, 62. [3]) Tamże. [4]) Tamże 68.

nów — w kilka miesięcy bowiem później już są przygotowani do podróży czekając tylko wyraźnego ostatecznego z Polski rozkazu. Rozkaz jednak nie nadszedł. Domyślał się święty, że może królowa każe im wyjechać dopiero na wiosnę, nie chcąc ich narażać na burzliwą żeglugę w późnej jesieni. To też mimo że pisał do X. Fleury, że już wszyscy przygotowani do wyjazdu, nie miał jeszcze, zdaje się, upatrzonych na tę misyę osób, a przynajmniej przełożonego przyszłego domu, a może też tylko wahał się co do jego wyboru. Chciał nowej misyi dać dzielnego przewodnika, jakby przeczuwał liczne trudności w Polsce ją spotkać mające. Takim był według zdania świętego X. Lambert aux Conteaux, przełożony w Richelieu, bardzo przez niego ceniony i kochany. „Prawda to, że bardzo cierpię od czasu, gdy ciebie tu nie ma, pisał później do Polski, ale poddaję się temu umartwieniu“ [1]). To też w marcu dopiero roku 1651 zapytuje X. Lamberta kogoby mu dać za następcę w jego urzędzie, bo go potrzebuje [2]). Jednak i teraz jeszcze nie przyszło do wyjazdu Misyonarzy, a przyczynę tej zwłoki trzeba szukać w Polsce. W czasie, gdy św. Wincenty donosił, że Misyonarze gotowi do wyjazdu (w sierpniu 1650 r.) królowa zajęta była pogrzebem swej córki [3]). Może jeszcze także nie wiedziała gdzie pomieścić nowych przybyszów. Teraz zaś znowu wojna kozacka srożyła się coraz więcej. Król sam wyjechał w kwietniu do obozu, a z nim pośpieszyła i królowa [4]). Kłopoty wojenne zajęły królową; — wszakżeż ona tak poważny wpływ na politykę polską wywierała — nie miała

---

[1]) Lettres II, 405. $^{29}/_{3}$ 1652. [2]) Lettres II, 318, $^{15}/_{3}$ 1651. [3]) Pamiętnik z czasów panowania Zygmunta III, Władysława i Jana Kazimierza, wyd. Wójcicki 1846 r. tom II. [4]) Pamiętnik Alberta Radziwiłła II, 435.

czasu myśleć o Misyonarzach. Dopiero gdy horyzont wojenny nieco się wyjaśnił, po bitwie pod Beresteczkiem, pomyślała królowa o swym zamiarze, a w połowie października 1651 r. stają Misyonarze na ziemi polskiej [1]).

Nieliczna była gromadka nowych przybyszów. Chciał wprawdzie św. Wincenty posłać ośmiu lub dziewięciu, nie mógł jednak więcej jak czterech. Byli to dwaj kapłani Lambert aux Contaux i Desdames, subdyakon Guillot i kleryk Kazimierz Żelazowski. Dodany im był do posługi brat Posuy. Jaką ofiarę robił święty wysyłając X. Lamberta, pokazuje list Świętego z roku 1640 do kardynała Ingoli'ego. Była wtedy mowa o tem, aby wysłać X. Lamberta do Persyi: „Zdaje mi się, pisał, że wysłać tego księdza, to jakby mi ktoś wyrwał oko lub jakbym sam sobie odciął rękę [2]).

Wysłani nie wiedzieli nawet dokąd im przyjdzie najpierw skierować swe kroki; królowa zapewne nic jeszcze pewnego Świętemu nie pisała. Podróż odbyła się zapewne morzem. Jeżeli tak, to spotkali w drodze oboje królestwo, którzy wybrali się 1 września do Malborga i 2 miesiące tam zabawili [3]). Królowa przyjęła ich z wielką radością i jak najlepiej, toż i X. Fleury i niejaki p. Drogo rozwinęli największą względem nich gościnność, za co wdzięczny zawsze Wincenty nie omieszkał wyrazić swej podzięki [4]). Na razie zamieszkali w Warszawie obok pałacu królewskiego, gdzie królowa kupiła im mały domek, a msze św. odprawiali w pałacowej kaplicy królewskiej [5]).

Ciekawem zapewne będzie poznać, jakie wrażenie zrobiła na misyonarzach Polska. Zachował się

[1]) Lettres II, 371. [2]) Memoires de la Congreg. de la Mission. Paris 1863. Pologne t. I. część 1. str. 9. [3]) Pamiętnik Radziwiłła. II 453. [4]) Lettres II 371. [5]) Tamże.

list księdza Lamberta, a jak z niego widać, kraj bardzo mu się podobał, tak bowiem pisze: „W Polsce powietrze lubo nie tak umiarkowane jak we Francyi, jest wszakże nieporównanie zdrowsze i przyjemniejsze. Niemasz tu wprawdzie kanarków, ale też nieznane w tym kraju liczne choroby tak pospolite we Francyi; nawet wedle zdania biegłych i doświadczonych lekarzy i chirurgów pewne choroby i rany prawie niedowyleczenia we Francyi, leczą się tu bardzo pomyślnie i łatwo, co przyznać należy jedynie dobroci powietrza. Dla tejże dobroci i czystości powietrza pora zimowa aczkolwiek cierpka, nie jest tu ani tak niedogodna, ani tyle nudna jak we Francyi. Zimno łagodzi się obfitem opalaniem ogromnych pieców, które się tu po wszystkich znajdują domach. Wychodząc z domu bierze się futro, to zaś nie jest tak drogie jak we Francyi. Jednem słowem, Polska jestto jedna z najpiękniejszych i najbogatszych krain. Niczego nie brakuje". Jednę tylko niedogodność widział X. Lambert w Polsce a mianowicie, że dawał się odczuwać brak książek. Naturalnie miał on na myśli chyba książki francuskie, bo przecież polskich i łacińskich było dosyć. Apteki również dość były rzadkie, a wszystko w nich drogie, niemniej i malowidła i papier [1]).

Podobała się misyonarzom także pobożność ludu, czystość i porządek w kościołach, w przeciwieństwie do brudnych kościołów we Francyi i nieuszanowania, z jakiem się w nich zachowują [2]).

Tak korzystne wrażenie pierwsze musiało się przyczynić do większej ochoty w pracy; chętniej bowiem człowiek zawsze się poświęca, gdy mu się gdzieś podoba. Lecz czem mieli misyonarze zająć się na po-

---

[1]) Portofolio Maryi Ludwiki. I 174. [2]) Lettres II 393.

czątek? Prócz Żelazowskiego nie znał żaden z nich języka polskiego. Językiem więc jakim mieli się początkowo posługiwać wobec Polaków była łacina, a św. Wincenty, jak zobaczymy, dobrze rozumiał co znaczy dla nowo przybyłego z Francyi misyonarza dobrze władać tym językiem; wybiera też pierwej tych tylko do Polski, co dobrze po łacinie mówili. Wprawdzie wskutek licznych z Francyą stosunków język francuski był coraz więcej znany, znali go jednak tylko magnaci, szerszym warstwom nie był on znany. Natomiast cała rzesza szlachecka na Alwarze kształcona znała łacinę, więc i misyonarze mogli się tym językiem posługiwać. O wypełnieniu najpierwszego celu Zgromadzenia t. j. zajęcia się ludem nie mogło być na teraz mowy. Nie o misyach też myślał św. Wincenty na początek ani o pracy w konfesyonale. Lud będzie dobry, gdy dobrych będzie miał pasterzy, to też widząc ile dobrego sprawia we Francyi pouczanie mających przystąpić do święceń kapłańskich, i prowadzenie seminaryów duchownych, za co mu francuscy biskupi nie szczędzili słów uznania [1]), radził królowej Maryi Ludwice aby jego synowie w Polsce do podobnych zostali użyci zajęć. Na początek mogliby wziąć choć z dwunastu kleryków, ćwiczyć ich przez rok, a ci wykształceni w szkole mającej tak świetną tradycyę mogliby się stać pod przewodem samych misyonarzy dzielnymi pracownikami dla ludu i maluczkich tego świata. Naturalnie misyonarze nie zaniedbywaliby uczyć się po polsku, aby i sami w pracy brać mogli udział [2]).

Dobra królowa obmyślała tymczasem zaopatrze-

[1]) Lettres II. 351.
[2]) Tamże II. 371.

nie dla swych księży. Wakowało właśnie probostwo kollacyi królewskiej [1]) na Litwie Sokółka [2]). To na razie królowa ofiarowała misyonarzom a ks. Desdames został tam proboszczem. Musiało to być beneficyum dobre. Św. Wincenty nazywa je „piękną i prawdziwie królewską fundacyą“ [3]).

Zdaje się jednak, że nie zaraz misyonarze weszli w jego posiadanie; wspomina bowiem św. Wincenty ze smutkiem o chorobie królowej, która ją wstrzymuje od podróży na Litwę [4]). Z królową to mieli się udać misyonarze, aby przedstawić się biskupowi Wileńskiemu i objąć Sokółkę w posiadanie. Królowej choroba doznała tymczasem szczęśliwego rozwiązania, ku wielkiej radości nietylko misyonarzy i ich świętego generała, lecz i całego narodu, urodził się jej bowiem syn, którym niestety niedługo ani królowa ani naród nie miał się cieszyć. Około początku grudnia wybrali się misyonarze na Litwę, aby otrzymać instytucyą na swoje probostwo [5]). Biskupem Wileńskim był wówczas ksiądz Jerzy Tyszkiewicz, kapłan bardzo pobożny i starający się usilnie o poprawę swego duchowieństwa [6]). Pozyskanie dla dyecezyi tak wzorowych kapłanów za jakich słusznie uchodzili misyonarze, musiało mu być bardzo pożądanem. Sława jego świątobliwości obiła się już i po zagranicami Polski i doszła do uszu św. Wincentego [7]).

---

[1]) Memoires t. I. cz. I. str. 12.

[2]) Jestto wieś na południe od Grodna, niedaleko od głównego traktu Wileńsko-Warszawskiego.

[3]) Lettres II. 410.

[4]) Tamże II. 377. 3/I 1652.

[5]) Tamże II. 392.

[6]) Niesiecki. Herbarz t. IX. 180.

[7]) Lettres II. 351.

Na niego też liczył święty, że dopomoże misyonarzom do zajęcia się ordynandami i ludem. Biskup Tyszkiewicz przyjął misyonarzy rzeczywiście nader uprzejmie i obdarzył podarunkami, a zarazem zbudował swą pobożnością i miłosierdziem [1]). Chciał ich mieć nawet u siebie w stolicy, czemu jednak na razie wobec nielicznych sił jakiemi rozporządzali, odmówić musieli. To też aby jak najprędzej zyskać nowego pracownika, święty poleca uczyć teologii kleryka Żelazowskiego [2]). Aby tem lepiej poznać misyonarzy i przypatrzyć się ich życiu wewnętrznemu, biskup Wileński gdy przybył do Warszawy zamieszkał w skromnym ich domku [3]). Niedawno dopiero przybyli do Polski a już działalność synów św. Wincentego rozdzielała się na 2 miejsca. Św. Wincentego cieszyło wszystko niewymownie, a jak bardzo pokochał nowe to dzieło Boże, wnosić możemy z tego, że i sam co tydzień pisze do Polski i cotygodniowych listów z Polski się domaga. Nie wszystkie listy dochodziły miejsca przeznaczenia, poczty nie były tak bezpieczne jak dzisiaj, z częstych listów więc choć niektóre mogły mu zanieść wiadomości o ukochanych jego dzieciach [4]).

W Warszawie poszukali sobie misyonarze pracy między ubogimi. Nadjechały tymczasem i siostry miłosierdzia, a wspólnie z niemi zajął się ks. Guillot biednymi [5]). Pracy nie brakło, a Bóg udzielał ich gorliwości błogosławieństwa. Cieszyła się tem i Marya

---

[1]) Lettres II. 392.
[2]) Tamże II. 410.
[3]) Tamże II. 425.
[4]) Tamże II. 380.
[5]) Tamże II. 377.

Ludwika i oglądała się za jakiemś dla misyonarzy uposażeniem, nie myślała bowiem poprzestać na darze skromnego w Warszawie domku. Przez pewien czas myślała oddać im kościółek świętego Benona [1]). Była to jednak myśl nie bardzo szczęśliwa. W kościółku tym bowiem odbywało się nabożeństwo dla niemców, a więc i kazania po niemiecku. Żaden zaś z misyonarzy języka tego nie znał, to też zamiar ten nie ostał się długo i jak było można przewidzieć upaść musiał niebawem [2]).

W stolicy Polski było niemało francuzów zamieszkałych czy to na dworze czy też w mieście. Dla tych urządzili misyonarze około Wielkiejnocy 1652 r. rodzaj rekolekcyj, aby ich przygotować do spowiedzi i komunii wielkanocnych [3]). Niebawem zdarzyła się sposobność rozszerzenia zakresu owej pracy. Po strasznej wojnie z kozakami wybuchła w Polsce zaraza, przybierając zastraszające rozmiary. Cała Ruś, Wołyń, Lubelskie, Małopolska, Piotrkowskie, część Prus zostały tą plagą dotknięte [4]). Król sam nawet zaczął na nią chorować, a to z następującej przyczyny. Czuła na nędzę ludzką i miłosierna królowa wysyłała pewną niewiastę swego dworu, w celu rozdawania ubogim chorym jałmużny. Ta padła jednak ofiarą swego poświęcenia, zaraziła się, a od niej dwór królewski.

---

[1]) Lettres II. 422. List św. Wincentego mówi o kościółku św. Benedykta. Z uwagi jednak na to, że kazania niemieckie odbywały się u św. Benona, przyjąć trzeba, że list został niedokładnie odczytany. Benoit zamiast Benon. Cf. Łukaszewicz „Opis kościołów dawnej dyecezyi poznańskiej". tom III. str. 122.

[2]) Lettres II. 425.

[3]) Tamże II. 422.

[4]) Pamiętniki Radziwiłła. II. 481.

Kilka osób z otoczenia królowej umarło, ona sama zachorowała [1]), król był w niebezpieczeństwie życia. Przyszedł jednak do zdrowia i chciał jechać do dóbr brata swego księcia Karola biskupa Płockiego, stamtąd zaś do Prus, że jednak umarło na zarazę kilku flisaków na Wiśle, przeniósł się więc do dóbr arcybiskupa w lasy Skierniewieckie. Lecz i tu doszła zaraza, osiadł więc nareszcie w Łowiczu [2]). Zapanowała ogólna panika i popłoch. Z Warszawy ludzie uciekali, dużo domów stało pustką. Nie było najmniejszego porządku. Tak obawiano się zarazy, że nawet nie chowano zmarłych, zostawiając trupy na ulicy psom nu pożarcie, co naturalnie tylko jeszcze pogorszało stosunki zdrowotne. Skoro tylko ktoś w domu zachorował, wynoszono go na ulicę, skazując go na śmierć niechybną; nikt nie chciał mu nawet jeść podać. Biedni ludzie nie mieli zarobku ni chleba, bo bogatsi powyjeżdżali [3]). Misyonarze chętnie oddawali posługi chorym, a dopomagały im w tem szarytki. Działał tu ks. Desdames i Żelazowski, ks. Lambert zaś przy boku królowej pospieszył na ratunek zapowietrzonym do Krakowa, gdzie zaraza tak się srożyła, iż kilka tysięcy ludzi w tem tylko zabrała mieście [4]).

Ks. Lambert jednak dowiedziawszy się o bojaźni, jaka zapanowała w Warszawie, prosił królową aby natychmiast mógł tam pojechać celem ulżenia biednym i lepszego zorganizowania akcyi miłosierdzia. Marya Ludwika przystała na to, a troskliwa o swych ulubionych księży, a zwłaszcza ich przeło-

---

[1]) Lettres II. 472.
[2]) Pamiętniki Radz. II. 472.
[3]) Memoires I. 1. str. 11. List do X. Coglée w Sedan.
[4]) Pamiętniki Radz. II. 481.

żonego, którego bardzo ceniła, kazała mu zamieszkać w pałacu królewskim. Codziennie kuryer musiał przynosić z Warszawy wiadomości i codziennie wiózł ks. Lambertowi zalecenie, aby się oszczędzał i nie wystawiał zbytnio na niebezpieczeństwo, żeby się spieszył z zarządzeniem wszystkiego i do Krakowa powrócił [1]). Zajął on się w Warszawie gorliwie grzebaniem umarłych, zaopatrywał konających na drogę wieczności, przygotował i urządził dla biednych trzy czy cztery domy na szpitale, pomieścił osobno niewiasty, osobno mężczyzn. W pracy pomagali mu tu ks. Guillot i brat Posuy użyci także do rozdawania jałmużn jakich królowa nie szczędziła [2]). Praca była jednak nad siły małej gromadki, zażądano więc pomocy od świętego Wincentego. To też już we wrześniu [3]) stają trzy [4]) nowe siostry miłosierdzia na ziemi polskiej. Zamyślał święty wysłać do Polski także ks. Cruoby, zajętego w Rethel [5]), do tego jednak na razie nie przyszło. Ksiądz Lambert zmęczony pracą wśród zapowietrzonych, sam zaczął upadać na siłach, a wnet choroba przykuła go do łoża. Królowa jak i król dopytywali się często z prawdziwem współczuciem o jego zdrowiu, a nawet sami często odwiedzali [6]). Choroba ta aczkolwiek nadwątliła siły księdza

---

[1]) Memoires I. 1. str. 11. List Maryi Ludwiki.

[2]) Lettres II. 492. Nie jest bardzo pewnem, gdzie który z misyonarzy pracował. List cyt. mówi ogólnie tylko o zarazie w Polsce i rozdawaniu jałmużn. O rozdawaniu jałmużn w Krakowie wspomina list na str. 446. Czy mowa tu o tych samych wypadkach? List bowiem na str. 538 zdaje się wskazywać, że brat Posuy był w Warszawie zajęty.

[3]) Memoires l. c.

[4]) Lettres II. 446.

[5]) Tamże.

[6]) Lettres II. 472 i 512.

Lamberta, przecież nie zakończyła się śmiercią, Bóg zachował go jeszcze, choć na czas krótki tylko.

Zaraza, jak z jednej strony podała misyonarzom sposobność do zapoznania się z drugą Polski stolicą Krakowem i przyczyniła się do rozszerzenia zakresu pracy, to z drugiej strony według własnych słów królowej była przeszkodą, że dotąd nie ukończono jeszcze sprawy ostatecznego ich w Polsce osiedlenia się [1]). Ale nie były to trudności jedyne.

Druga przeszkoda była, że sprzeciwiali się temu OO. Jezuici. Misyonarze uprzedzeni przeciw nim przez Fleury'ego, przedstawiali, że czynią to z zazdrości [2]). być może jednak, że inne były tego powody. Cieszyli się misyonarze ciągle względami spowiednika królowej, a to podawało w podejrzenie ich prawowierność. Wiary ich wprawdzie dotąd nic nie zachwiało, owszem ilekroć królowa wszczynała rozmowę w tym przedmiocie, dawali jej misyonarze odpowiedź stanowczą i pełną ducha Bożego [3]), a jednak już w kilka miesięcy po przybyciu do Polski widzimy ich w jakichś z Jezuitami zatargach. Przeszkadzali oni osiedleniu się Misyonarzy, obawiali się ich wpływu na lud [4]). Uskarżali się na to nieraz Misyonarze przed świętym swym Ojcem. Ten polecał im znosić to cierpliwie, pisał, że „wielbi w tem postępowaniu Pana Boga, bez którego woli nic się nie dzieje. Lepiej uczynimy zapatrując się w ten sposób na wszystkie przeciwności jakie nam się zdarzają, aniżeli żebyśmy je komu mieli przypisywać. A choćby nawet

---

[1]) Memoires l. c.
[2]) Lettres II. 440.
[3]) Tamże II. 410.
[4]) Tamże II. 439.

było to prawda, co piszecie, że zazdroszczą nam, to przecież nie przestałbym dobrych tych Ojców szanować, miłować i przysługi świadczyć, ile to w mocy mojej czy tu, czy gdzieindziej“ [1]). Dziwiło to świętego tem więcej, że w Paryżu i we Francyi żył z Jezuitami w jak najlepszej zgodzie. Że jednak była to rzecz wielkiej wagi, więc stara się o świadectwa dla swych synów. Posyła im kopię bulli erekcyjnej Urbana VIII. Prosi także nuncyusza paryskiego o świadectwa dla Zgromadzenia i listy polecające do nuncyusza w Polsce i do biskupa Poznańskiego, aby je zechcieli przyjąć zamiast *litterae testimoniales,* o które się ci dygnitarze kościelni dopominali. Święty nie mógł bowiem tychże nadesłać, nie wiadomo z jakiego powodu, pisze tylko, że o nie „nie śmiał“ prosić arcybiskupa paryskiego [2]). To poskutkowalo, na razie bowiem przycichły zarzuty, ale odnowiły się niebawem, gdy zaczęto myśleć o oddaniu misyonarzom kościoła i parafii św. Krzyża, a zwłaszcza w r. 1654. Sprawa jansenizmu stała się wówczas znowu w Polsce więcej aktualną. W lipcu bowiem 1653 r. otrzymał król Jan Kazimierz breve papieskie w sprawie wspomnianej i polecił biskupom je ogłosić [3]). Misyonarze coraz więcej cieszyli się względami Fleury'ego, to też coraz częściej skarżą się na nieprzychylne względem nich postępowanie Jezuitów [4]). Chciano nawet przeszkodzić ich misyom [5]). Święty Wincenty jednak zawsze upomina do cierpliwości i każe złe dobrem zwyciężać, a listy jego pełne są

[1]) Lettres, porównaj mp. III. 52.
[2]) Lettres II. 439.
[3]) Theiner M. H. P. III. 483.
[4]) Cf. Lettres. III. 53, 102, 124, 127.
[5]) Lettres III. 127.

jak najpiękniejszych zdań i wykazują jak sam kierował się zawsze duchem wiary. Nieporozumieniom trzeba było jednak położyć koniec. Na prośby więc świętego Wincentego Jezuici paryscy napisali do swych polskich konfratrów. Listy te odniosły skutek. Spory i nieporozumienia między Jezuitami a Misyonarzami w Polsce ustały tak, że już 22-go stycznia 1655 r. mógł święty pisać: „Niech Bóg będzie błogosławiony za to, że Zgromadzenie żyje w zgodzie z tymi wielebnymi ojcami, a prosić trzeba Zbawiciela aby nam dał łaskę, żebyśmy żyli w tych samych stosunkach z wszystkiemi innemi [1]).

Od tego czasu Misyonarze i Jezuici pracowali zgodnie nad dziełem zbawienia ludzi. Usunął się zresztą już i pozór tych nieporozumień. Fleury przestał być spowiednikiem królowej [2]) i powrócił do Francyi, a Misyonarze posiadali już parafię św. Krzyża.

Gdy sprawa ustalenia się Misyonarzy weszła na tory pomyślne i miała dojść do pożądanego celu, ponieśli oni nader dotkliwą stratę przez śmierć swego przełożonego świątobliwego ks. Lambert'a. Choroba ostatnia i nadmierna praca zużyła jego organizm, to też po krótkich bo zaledwie 3 dni trwających cierpieniach, co prawda bolesnych bardzo, które jak sam mówił, koniecznie śmiercią zakończyć się musiały, poszedł przyjąwszy Sakramenta św. z rąk ks. Desdames dnia 31. stycznia 1653 r. do nieba po dobrze zasłużoną zapłatę, licząc lat dopiero 47 [3]). Stratę tę odczuli głęboko nietylko polscy jego konfratry, nietylko św. Wincenty, ale i Fleury i królowa. Święty

---

[1]) Vie St. Vincent III. 72.

[2]) Tamże.

[3]) Lettres II. 513.

rozesłał do superyorów list pełen smutku, a zarazem uwielbienia dla zmarłego, „tego nieporównanego[1]) kapłana“, w którym przytacza wyjątki z listów kondolencyjnych, jakie mu nadesłali Fleury i Marya Ludwika. „Nie było kapłana doskonalszego i stosowniejszego do pracy w winnicy Bożej, słusznie mógł on być nazwanym: *Dilectus Deo et hominibus, cujus memoria in benedictionibus est,* szukał we wszystkiem Boga tylko, a nikt w tak krótkim czasie nie zyskał sobie tyle szacunku i względów króla i królowej, co on; szanowano go powszechnie, bo wszędzie rozlewał woń swych cnót“. Tak pisał Fleury, a królowa: „Jeżeli mi Wielebny księże nie poślesz drugiego ks. Lamberta, to nie wiem co zrobię“ [2]).

Zmarły pochowany został w Sokółce przed wielkim ołtarzem, skąd w r. 1686 za pozwoleniem ks. biskupa wileńskiego Kotowicza przeniesiony został do katakumb kościoła św. Krzyża w Warszawie [3]). Następcą jego w urzędzie został ks. Desdames, kapłan również bardzo gorliwy i pełen ducha Bożego.

---

[1]) Lettres II. 560.
[2]) Tamże II. 513.
[3]) Memoires I. 1. str. 13.

KRONIKA.

Zapowiedziany na lipiec zjazd misyonarzy powołanych do odprawiania misyi w dyecezyach francuskich odbył się w Paryżu. Wzięło w nim udział 30 kapłanów. Rezultaty obrad prowadzonych jużto w komisyach, jużto plenarnych posiedzeniach, ogłasza list okólny księdza Generała.

„Annales de la Mission“ donoszą z Grenobli, że poświęcono tam w dniu 27. listopada 1894 uroczyście nowy dom sióstr. Wskutek przeprowadzenia nowej ulicy musiały siostry sprzedać dom dawniejszy, który też zburzono, zakupiły więc t. zw. Hôtel Vaulserre, w którym niegdyś zamieszkiwał w przejeździe Pius VI uwożony do Francyi przez Napoleona I.

Rzym. Odbyło się tu 19. marca t. r. przy licznem współudziale sióstr całego wiecznego miasta i stowarzyszeń Dzieci Maryi uroczyste poświęcenie kaplicy przy niedawno otwartym domu pod wezwaniem św. Wincentego. Obiecał przybyć na pobłogosławienie jej J. Em. Kardynał-Wikary słabość jednak nie pozwoliła mu dopełnić obietnicy, wysłał więc Msgr. Berlucca w zastępstwie.

Lublana. Wiadomo wszystkim, jak wielka klęska nawiedziła w nocy z niedzieli na poniedziałek wielkanocny miasto Lublanę. Trzęsienie ziemi porobiło w mieście i okolicy olbrzymie spustoszenia; szkody w samem mieście obliczają na 5 miljonów złr. Mają tu siostry miłosierdzia kilka domów. Obsługują także szpital powszechny i dziecięcy. Szpital powszechny ucierpiał bardzo. Można sobie wyobrazić popłoch powstały wskutek klęski, trzeba było jednak myśleć

o ratowaniu chorych. To też co prędzej wynoszono ich z rozpadającego się budynku i rozkładano pod namiotami w ogrodzie. Budynki szpitalne również jak i kościół ucierpiały tak bardzo, iż trzeba było je zburzyć. Ucierpiał także bardzo szpital dla dzieci i dom sierot. Misyonarze i ich kościół nie ponieśli wielkiej szkody; władza jednak dla pewności kazała im kościół zamknąć. Całe miasto rzuciło się do modlitwy, odprawiano publiczne procesye dla odwrócenia gniewu Bożego. Pociechą dla nieszczęśliwych mieszkańców było, że Najłaskawszy Monarcha odwiedził miasto i prócz hojnej pieniężnej pomocy, wszędzie najbiedniejszym nawet osobiście niósł słowa pociechy. Zwiedził między innemi i szpital powszechny, i po kilka razy z wielkiem uznaniem wyraził się o pracy sióstr miłosierdzia, wyszczególniając zwłaszcza kilkakrotnie rozmowę przybyłą z Gracu siostrę Wizytatorkę.

Ameryka. Na wyspie Kuba wybuchło na wiosnę groźne powstanie. Wojska na wyspie konsystujące były niedostateczne, musiano więc przysłać posiłki z Hiszpanii. Misyonarze w Santiago de Cuba mieli sposobność naśladować św. Wincentego w tem, że dali u siebie pomieszczenie 450 żołnierzom, boć i u św. Łazarza nieraz stali żołnierze. Koszary i domy prywatne były za szczupłe, żeby pomieścić wojska hiszpańskie. Będą oni pewnie mieli żołnierzy u siebie przez cały czas trwania walki. Sami zamieszkali w osobnem skrzydle budynków, lecz tylko ogród oddziela ich od żołnierzy. Przerwane zostały misye z takim pożytkiem odprawiane po wsiach. Siostry obsługujące szpital wojskowy przeciążone są pracą. Tylu rannych i chorych a ich niewiele i to podeszłe wiekiem i słabe!

Oto co pisze „Przewodnik handlowo-geograficzny“ o naszym konfratrze, o którego pracy w Ameryce niedawno donosiliśmy:

Ks. Franciszek Grzegdała, misyonarz pełen poświęcenia, który celem ratowania ludu polskiego udał się do Południowej Ameryki, dokonywa obecnie wielkiego dzieła kolonizacyi drugiego stopnia. Powziął on zamiar osiadłych w Argentynie robotników i wyrobników polskich, znajdujących się w niekorzystnych warunkach, przesiedlić do Parany na kolonie rolnicze. W tym celu porozumiał się z p. Saporskim w Kurytybie, który swym wpływem wyjednał w ministeryum rolnictwa w Rio-Janeiro, iż rząd brazylijski na swój koszt osiedli naszych rodaków w Paranie. Z Buenos Ayres ma się przesiedlić do Parany, a właściwie do tego czasu już się zapewne przesiedliło 60 rodzin polskich. Dzieło ks. Grzegdały zasługuje na naśladownictwo i kontynuacyę na szeroką skalę.

Peru. Rzeczpospolita Peru nie wolna była także od rewolucyi. Tak zwani Skoalizowani czyli Montaneros pod generałem Piérola, walczyli przeciw wojskom generała Caceres, które uważają się za prawowite i stojące przy konstytucyi. Skoalizowani szanują wszędzie religię. W Limie przyszło do krwawej walki między obu stronnictwami, walki 2-dniowej, której teatrem były ulice miasta. Padło co najmniej 1300 ludzi a 1000 jest rannych. Siostry coraz więcej stąd miały pracy, to też ze wszystkich domów miasta zebrano je do obsługi szpitala. W walce ucierpiał i szpital. Kule padały na sale chorych, ale na szczęście nikt nie został przez nie ugodzony. W szpitalu Deux de Mai walka odbywała się nawet w bramie. Opatrzność prawdziwie Boża, że ani siostra przełożona,

około której głowy kule kilka razy przelatywały, ani nikt inny nie zginął.

Część domu musiano odstąpić na koszary. Niemiłe to sąsiedztwo, a i niebezpieczne. Siostry złączyły dom ten z innemi zabudowaniami, drzwiami przechodniemi. Dowiedzieli się o tem Montaneros i dalejże szturmować, by im otworzono, w przeciwnym razie grozili wysadzeniem drzwi. Właśnie w sali zebranych było dużo sierot. Zanim można było dzieci wyprowadzić, już żołnierze wpadli do sali żądając wolnego przejścia do koszar. Zajęli koszary przez dach (domy tutejsze wszystkie są z terasami). Ale niebawem wrócili wypędzeni żołnierze rządowi i wyparli najeźdźców będących w mniejszości. Zaczęła się walka w domach sąsiednich i ogrodzie naszym. Wielu ukryły siostry do drugiego dnia. Srożono się bardzo, nawet rannych zabijano. Dziwne w tem to, że w domu przez siostry zamieszkałym nie strzelano do wrogów, podczas gdy gdzieindziej wiele kobiet i dzieci przy tej walce w domach zginęło. Strzelano nawet z wież kościelnych. Można sobie wyobrazić strach i ciągłe naprężenie, gdy przez 2 dni słychać było tylko strzały karabinowe i armatnie i gwar walki. Św. Józef patron Peru, wyprosił jednak spokój, bo 19. marca zawarto zawieszenie broni, a 20. zaczęto układy o pokój. Pośredniczyli w tem przedstawiciele obcych państw pod przewodnictwem delegata apostolskiego. Pokój rzeczywiście przyszedł do skutku, a tak Peru uwolnione zostało od wojny domowej.

Z Rzeczypospolitej Paraguay donosi towarzysz odprawiającego tam wizytę X. biskupa Crouzet'a (dawniejszego wikaryusza apost. Abysinii), że prace przez misyonarzy podejmowane przynoszą błogie skutki i rozwijają się pomyślnie. Dotychczas nie dawali mi-

syonarze z Assumpcion misyi, ale X. biskup Crouzet polecił je wprowadzić. W Assumpcion są także 3 domy sióstr; obsługują szpital i szkołę żeńską. Uczęszcza do niej 300 dziewczynek. Jest tu i konferencya św. Wincentego męska i Stowarzyszenie pań miłosierdzia.

Azya. Z wojny chińskiej następujących jeszcze udzielamy szczegółów. W Pekinie panuje nędza wielka, tak, że dziwić się można, iż dotąd nie było zamieszek. Wiele rodziców pozbywa się swych dzieci, trzy, cztery dziennie znoszą do sióstr miłosierdzia; wiele ginie bez chrztu św. Mają tu siostry w domu Niepokalanego Poczęcia N. M. P. 500 dzieci, a tyleż żywią przychodnich.

Z Czeng ting fu donoszą, iż rozrzucono przeciw misyonarzom i siostrom oszczerstwa, jak np. że wysadzą w powietrze mandarynaty i całe miasto. Zapanowało wzburzenie, to też pewnego dnia żołnierze przechodzący przez miasto chcieli zająć dom sióstr. Na drugi dzień była to niedziela, zebrało się niekarnego żołdactwa jeszcze więcej, poczęli oni występować z groźbami. Szatan widocznie zazdrosny, bo dużo tu zrobiło się dobrego. W rekolekcyach pod przewodnictwem X. biskupa Brugnière'a wzięło udział przeszło 700 osób. Wobec tych złych zamiarów żołdactwa jeden z misyonarzy napisał zaraz do 3-ech przychylnych nam mandarynów, którzy też natychmiast wysłali oddział wojska, aby uspokoił tumult. Sam podprefekt przybył do misyonarzy, zapewniając im i siostrom opiekę. Wydał też stósowne edykty i kazał je przybić na bramie naszego domu i na bramach mandarynatów. Od tego czasu ustały zaburzenia. W ostatnią tylko niedzielę roku ubiegłego nie można było odprawiać publicznego nabożeństwa, ni dzwo-

nić, ni śpiewać, aby nie drażnić Chińczyków. Wskutek wojny mniej w tym roku przybywało na katechizm i do szkół.

Długi czas ranni w potyczkach z Japończykami byli odstawiani do szpitalów chińskich. Ale niebawem i w szpitalu sióstr miłosierdzia w Tientsin zaczęto ich umieszczać. Rany wielu były bardzo zaniedbane; znajdują się oni w stanie opłakanym. Ale i szpital nie wszystkich mógł pomieścić. Misyonarze mają niedaleko od Tientsin domy; siostry więc projektowały tam urządzenie ambulansu. Może niejedną duszę uda się pozyskać Jezusowi!

Zmarli:

Brat Dezyderyusz Condart 28 lat życia, 10 lat powołania, umarł 15 czerwca w Echin-Ewig-Fron (Chiny).

Ksiądz Jan Bresson 35 lat życia, 14 lat powołania, umarł 15 czerwca w Kang-Pei (Chiny).

Ksiądz Jan Maineri 34 lat życia, 2 lat powołania, umarł 8 maja w Tscheng-Ting-Ton (Chiny).

Brat Jakób Tomamira 65 lat życia, 19 lat powołania, umarł 4 czerwca w Barcelonie (Hiszpania).

Ksiądz Aleksander Cizean 30 lat życia, 11 lat powołania, umarł 22 czerwca w Santa Quiteria (Portugalia).

Ksiądz Wilhelm Stevens 54 lat życia, 26 lat powołania, umarł 2 sierpnia w Konstantynopolu (Austryacka prowincya).

Ksiądz Józef Zi 24 lat życia, 3 lat powołania, umarł 1 sierpnia w Mapon (Chiny).

Kleryk Józef Gonder 20 lat życia, 3 lat powołania, umarł 12 sierpnia w Krakowie (Polska).

Ksiądz Ludwik Leynardi 76 lat życia, 55 lat powołania, umarł 8 sierpnia w Macerata (Rzym).

Ksiądz Franciszek Potellas 59 lat życia, 33 lat powołania, umarł 17 lipca w domu Św. Marcelego (Filipiny).

Ksiądz Ludwik Bourgode 56 lat życia, 32 lat powołania, umarł 7 września w Paryżu (Francya).

Ksiądz Jan Chrzc-Riche 50 lat życia, 27 lat powołania, umarł 7 września w Musineus (Lyon).

Ksiądz Syxtus Barther 54 lat życia, 32 lat powołania, umarł 16 września w Aleksandryi (Syrya).

Ksiądz Piotr Souchon 70 lat życia, 47 lat powołania, umarł 22 września w Paryżu (Francya).

S. Albina Królikowska zmarła 22 lipca u św. M. Magdaleny we Lwowie, lat 53, powołania 35.
S. Eleonora Winiarz, zmarła 17 sierpnia w Domu Centralnym w Krakowie, lat 30, powołania 13.
S. Józefa Malawska, zmarła 20 września w Domu Centralnym w Krakowie, lat 56, powołania 38.

R. i. P.

Wydawnictwa Księży Misyonarzy
(Kraków, Kleparz 19).

Przewodnik grzeszników czyli nauka dla wszystkich stanów o zacności i pożytkach cnót i o drodze do nich wiodącej, przez WX. Ludwika z Grenady — wydanie Księży Misyonarzy. Cena egz. opr. loco **1 złr. 60 cnt.** (3 marki).

Wiadomość o Najśw. Pannie w Lourdes. Prócz opisu znaczniejszych cudownych łask, jakich za użyciem wody z Lourdes pobożni wierni doznali, tudzież Nowenny do tejże cudownej N. Panny, dodano modlitwy i akty pobożne dla chorych i konających, tudzież pieśń i Litanię do tejże Najśw. Panny. Wydanie ozdobne, najnowsze z r. 1895. Cena broszury **20 cnt.** (40 fen.)

Narzędzia Męki Chrystusowej przez znakomitego kaznodzieję IMĆ. X Veit, przekład X. Chołoniewskiego, wydanie Księży Misyonarzy r. 1891. Dobre do czytań i nauk Pasyjnych. Cena **1 złr. 25 cnt.** (2 marki 40 fen.).

Wiadomość o trzech szkaplerzach tj. **niebieskim czerwonym i czarnym,** z dołączeniem nabożeństwa do Najśw. Panny i do Męki Pańskiej. Cena broszury **10 cnt.** (20 fenigów).

Cuda Łaski Miłosierdzia Bożego oraz Nowenna za dusze w czyśćcu cierpiące. Cena egz. **15 cnt.** (30 fen.)

Wspomnienie o życiu i śmierci Bł. Jana Gabryela Perboyre, Misyonarza umęczonego w Chinach Cena **20 cnt.** (30 fen.).

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa Tomasza Kempis — z dodatkiem licznych modlitw Cena egz. nieopr. **60 cnt.** (1 markę), opr. **75 cnt.** (1 markę 30 fen.).

Roczniki Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa, wychodzą co kwartał. Prenumerata wynosi rocznie **20 cnt.** (30 fen.).

Nowenna do św. Wincentego à Paulo. Cena **15 cnt.** (30 fen.).

Adoracye czyli 12 godzin przed Najśw. Sakramentem. Zbiór pięknych uwag, nauk i rozmyślań pobożnych o Najśw. Sakramencie z dodaniem procesyi na Boże Ciało, tudzież pieśni i hymnów o N. Sakr. Oprawne **50 cnt.** (1 marka).

Nabożeństwo Kościelne, czyli mszał rzymski po łacinie i po polsku na cały rok. Oprawa w szagryn **4 złr. (7 m.).**

Wiadomość o Cudownym Medalu N. P. Broszur. **10 ct.** (20 f.)

Maksymy św. Wincentego 40 ct. (80 fen.).